IZABELA LUTOSŁAWSKA

# BOLSZEWICY W POLSKIM DWORZE

WYDANIE DRUGIE

Biblioteka domowa
Nr
Mieczysława Kasprzaka

NAKŁADEM KSIĘGARNI i SKŁADU NUT
PERZYŃSKI, NIKLEWICZ i S-ka
WARSZAWA — NOWY-ŚWIAT 21
1921

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Zgoda 5.

# I.

W dniu 26 lipca jeszcze dwór był przepełniony rodziną, zjeżdżającą na lato do mojej babki. Ale w nocy przyszła depesza z Warszawy, by kobiety z dziećmi wyjechały, więc na pociąg, który odchodził o świcie szykowała się sprawnie cała gromadka.

Strzałów nie było słychać—wiadomość nadeszła dopiero w Sokołówce; mówiono, że Ossowiec się broni, Białystok w naszem ręku.

Odwoziłam na kolej moją siostrę z małemi dziećmi o trzeciej w nocy, a gdym zobaczyła dworzec, uderzyła mnie w serce ta pewność, którą miałam od chwili wzięcia Wilna „przyjdą!“

Więc naturalnie mówiłam, że nie wyobrażam sobie, by przyszli, bo chodziło mi o to, żeby moi jechali spokojni o mnie i bym ja mogła najpierw niby zwlekać z wyjazdem—a potem zostać.

Na stacji był tłok i ta sama atmosfera, jedyna w swoim rodzaju, znana od lat sześciu, w której tłumoki brudne lub trzymane w ręku drobiazgi są

jedynym śladem ognisk domowych, przepadłych nagle, których nic nie wskrzesi.

Groza była w powietrzu, nie w faktach. Nikt nie mówił, by się wróg gwałtownie zbliżał, przeciwnie, na stacji powiedziała nam jedna z władz miejscowych, że wiadomości są bardzo dobre. Pod Ossowcem ich odparto, o Łomży niema mowy, z miasta nikt nie ucieka. W istocie—w drodze nie spotkaliśmy sąsiadów ze wsi—nikt nie wyjeżdżał. To była środa rano.

Ale pociąg był przepełniony, jak tylko być może i o miejsce dobijano się z takiem przejęciem, jak o miejsce w pociągu ostatnim. Naczelnik stacji uspakajał, że ruch jest normalny, o drugiej w południe nadejdzie następny pociąg.

W przedziale mojej siostry było pełno wyjeżdżających oficerów. Jeden z nich, widząc, że się żegnam wzruszona, zapytał, czy zostaję.

— Tylko do ostatniej chwili, jakby nadchodzili; zdążę wyjechać końmi—powiedziałam, żeby uspokoić siostrę.

Potrząsnął głową i przyciszonym głosem rzekł:

— Radzę pani jechać z nami. Już pani nie wyjedzie... to jest ostatnia chwila.

Ale on miał twarz bladą człowieka, którego upokorzenie złamało, więc poprosiłam równie cicho:

— Niech pan przestanie, proszę — chodzi mi o spokój siostry.

Drugi oficer mówił głośno.

— Szaleństwo! siostry mi w Grodnie rozstrzelali, ocalenia przed nimi niema...

Przerwałam szybko:

— Ależ oni tu nie przyjdą, jestem pewna.

Nie odpowiedział nic, ale spojrzał na mnie tak dziwnie, że już nie miałam chwili wątpliwości, że są bardzo blisko.

Ogarnął mnie lęk, czy zdążę wrócić do domu przed najazdem, bo majątek leży z prawej strony Narwi, więc musieli tam być prędzej. A w domu były jeszcze dzieci i ci z rodziny, którym śmierć bezwzględnie groziła od Moskali...

Pociąg ruszył. Na udręczone twarze moich najbliższych patrzyłam całą duszą. Blady oficer spoglądał na mnie długo, jakby ze zgrozą; czułam, że ma mnie za straconą.

Powiedziałam jeszcze z głębokiem przekonaniem:

— Włos nam z głowy nie spadnie...

Ale pojęcia nie mam, dlaczego to przekonanie było we mnie tak silne. To też najmniejszej brawury nie było w mojem żywiołowem pragnieniu zostania, i — przetrwania.

Byłam trzy lata w Rosji, nawskroś męczeńskie lata. I myśl o wyrwaniu znów gwałtownie korzeni z tej ziemi, w którą od roku zaledwie wrastała na nowo dusza moja z rozkoszą — była dla mnie czemś istotnie przeraźliwszem od bolszewików.

I ta nienawiść bez granic, gromadzona latami, paląca, ta krzywda, na którą brak nazwy — wymagała nieprzemożenie czynu, zetknięcia się oko w oko. Nie byłam w stanie wyjechać.

Do domu wracałam uroczą doliną nadnarwiańską, łagodną, senną w rannych godzinach, pachnącą wyborowem sianem...

Po drodze ruch był normalny, ani uciekinierów, ani taborów ziemiańskich, ani wojska. Szczególnie wojska wcale.

W domu zaledwie zaczęło się mówić: czy wyjeżdżać? — kiedy rozległa się kanonada. Karabiny maszynowe, armaty. I jednocześnie po ślicznym ranku lipcowym ulewa i czarne chmury po całem niebie. To forty broniące Łomży o pięć wiorst od nas już się biły z Moskalami. Groza ogarnęła ludzi i bledli w oczach — nieprawdopodobne było tempo, w jakiem szedł najazd. O godzinie czwartej dano znać, że już pociągów niema, że Łomża jest osaczona, gdyż bolszewicy przeszli na lewy brzeg rzeki i forty poddać się muszą lada godzina. (Była to nieprawda, w pięć dni potem dopiero miało to miejsce). Kanonada wzmagała się—i ulewa, i wicher—zupełnie świat się zmienił w oczach. Trzeba było jechać końmi, na niepewne już, czy się zdąży. W godzinę trochę cennych rzeczy rzuconych do kufra i decyzja była gotowa: babka nie zniosłaby jazdy końmi, ja i tak zostawałam

z przyjaciółką naszą, a jej wieloletnią towarzyszką— więc i ona została pod naszą opieką.

Właśnie trochę było zwłoki z zaprzęganiem koni, gdy wpadł oddany nam człowiek z wiadomością, że podjazd bolszewicki jest we wsi i pytają: czy ksiądz jest we dworze, czy zdążył uciec?

W tempie błyskawicznem reszta mojej rodziny musiała wyjechać i na przestrzeni trzech wiorst, zbliżać się jeszcze do boju, by jedynym mostem, przy forcie pierwszym, przejechać na lewy brzeg Narwi i dążyć w głąb kraju.

Po ich wyjeździe w wielkim, opustoszałym dworze szyby trzęsły się od wzrastającej kanonady. Noc była bardzo ciemna. Zostałyśmy trzy na piętrze i trzy kobiety ze służby na dole. Elektryczność zgasiłyśmy, paląc małe świece. I czekało się z minuty na minutę. Ale ja miałam matkę w Warszawie i nie mogłam wytrzymać w domu. Pobiegłam na dziedziniec gospodarski, by starać się rozmówić telefonem z Warszawą.

Tu, jakby na progu nowych przejść, czekała mnie nieprzewidziana dobroć ludzka.

Z Łomżą uzyskałam szybko komunikację i taką miałam rozmowę, po powiedzeniu swego nazwiska:

— Gdzie pani jest? — zapytała zacna, nieznana mi telefonistka głosem pełnym grozy.

— Na wsi, w domu - błagam panią, by mnie pani połączyła z Warszawą, tam mam matkę, chcę uspokoić, że już pod okupacją.

— Pani! —powiedziała dziwnie bolesnym głosem, który jeszcze mi brzmi w uszach — o rozmowie z Warszawą niema mowy... Same wojskowe... Pani chyba nie wie, co się dzieje... Ostatnie chwile... Forty się biją... Niech pani ucieka.

— Błagam, niech pani da znać w Warszawie, że jesteśmy pod spokojną okupacją.

— Postaram się. Ale mówię pani, jako Polka Polce, niech pani wyjeżdża; dzieją się straszne rzeczy — choć do lasu... choć z majątku... na pierwsze chwile... niech pani we dworze nie zostaje — to potworne...

— Niech pani Bóg zapłaci za dobroć — nigdy nie zapomnę... matce mojej...

Przerwano rozmowę, stałam długą chwilę, patrząc na aparat.

Już teraz nie było słychać armat — tylko karabiny maszynowe. Boje ręczne z trzeciego fortu. Tam bronili miasta ochotnicy, garść nie wyćwiczona może, ale bohaterska.

Wróciłam do domu i przypomniałam sobie, że jest wszędzie pełno kompromitujących papierów. Zaczęłam palić. Przerywałam robotę od czasu do czasu, by wyjść przed dom na ulewę i słuchać odgłosów bitwy.

Słuch był wyostrzony: o 2 w nocy usłyszałam w odległym pokoju na piętrze dzwonek telefonu. Wydał mi się, rzecz dziwna, nie zwiastunem złych

wieści, jakby łatwo być mogło, ale jakimś cudownym, nieprawdopodobnym głosem ze świata, z tego mego świata, który nagle mi ginął z oczu wraz z najazdem...

Usłyszałam ochrypły, przejęty głos telefonistki:

— Daję Warszawę, proszę mówić prędko.

Była to największa i najbardziej wzruszająca przysługa, jaką mi kto w życiu wyświadczył.

Zaraz usłyszałam głos mego szwagra i uprzedziłam, że zostaję i paru słowami żegnałam. Zapewniłam, że okupacja jest spokojna, taktyka na obcej ziemi zmieniona, że nic nam się nie stanie. Jednocześnie czułam, że nie jest niemożliwe, że rozmawiam z nim po raz ostatni.

Później z towarzyszką mej babki słuchałyśmy, przechodząc od okna do okna, huku armat, znów wzmożonego. Obeszłyśmy dom i zamykały liczne wejścia, czując błahość, nicość prawie tych drzwi przybudówkowych, tych zardzewiałych kluczy, tych zamków z cienkiej blachy, tych okien w korytarzach, z ramami butwiejącemi!...

— Obrzydliwie duży dom — powiedziałam pół żartem — obrzydliwie! brr!...

— Co tam duży, ale pusty — odrzekła nawpół z humorem, nawpół burkliwie.

I chodziłyśmy dalej.

— Wiesz — powiada — że z nikim poza tobą nie zostałabym na to, co nas czeka.

— Cicho! tętent!

Słyszałyśmy wzajemnie swój oddech przyśpieszony.

— Nic nas nie czeka!... Ale pani za to zaufanie dziękuję, ja też po za panią...

Znów umilkłyśmy, bo nam się zdawało, że ktoś się skrada.

— I żeby tak, proszę pani, drzwi nie zamykać, to jest paskudna rzecz w nocy łomot dobijania się — niech sobie wejdą, my i tak na górze się zamkniemy...

— Mowy o tem niema — powiedziała z świętem przekonaniem i chodziłyśmy dalej...

Była to córka powstańca o krwi rycerskiej, która nie zawodzi. Ja znów miałam niezbite przekonanie, że Pan Bóg nas oszczędzi. Zaczem było nam jak kolegom, którzy są w dobrej kompanji, ale czekają z niepokojem na egzamin.

Położyłyśmy się w ubraniu, obie w salonie, przylegającym do sypialnego mojej babki. I zasnęłyśmy snem kamiennym. Noc minęła bez zdarzeń.

Administrator, dyrektor fabryki naszej, wszyscy pracownicy z inteligencji wyjechali poprzedniego wieczora. Zostali rzemieślnicy, niektórzy starzy słudzy domu i zacny, pełen ducha bożego, ksiądz proboszcz.

Nazajutrz rano, czwartek 29 lipca, siedziałam w pogodnym, błękitnym pokoju mojej babki i prosiłam, by mi dała do schowania biżuterję. Ale nie chciała rozstawać się; mało tego było, a pamiątki.

Właśnie gdy mówiłam, widząc, że zakłada złoty łańcuszek z zegarkiem:

Tego proszę nie kłaść, złoto napewno wezmą. Usłyszałam przed oknami, w ogrodzie tętent.

Strzały na fortach były ucichły i spokojna noc dała nam złudzenie, że ich odparto.

Wychyliłam się też bez najmniejszego wrażenia i ledwo widząc sylwety zawołałam:

— Żołnierzu, nie tędy!

Ale ścierpłam. Przedemną na tle ślicznego klombu stał zadarłszy głowę do góry konny kozak, z nahają, brudny, ociekający deszczem, wściekły i zawołał po rosyjsku:

— Otwieraj prędko!

## II.

Byłam już od rana w cudzej sukni ciemnej, bardzo długiej, pod szyję zapiętej i miałam niedbale przewieszony przez rękę woreczek satynowy z całym zapasem pieniędzy i rzeczy ważnych.

Moja babka zapytała spokojnie, przypinając sobie złotą broszkę:

- Co to?

— Nic, babciu!—i wybiegłam szybko.

Zbiegając ze schodów, pochwyciłam jakąś dużą chustę wełnianą, rozwieszoną na poręczy, narzuciłam na siebie i powiedziawszy po drodze służbie:

— Cicho, już są bolszewicy — szłam otwierać drzwi ganku.

Tuż za mną stanęły służące i natychmiast zjawiła się towarzyszka mej babki. Chciała ona otworzyć, ale jej nie puściłam.

Przez okienko w górze drzwi wchodowych ujrzałyśmy, jeszcze nie otworzywszy, liczne głowy— widać wszyscy byli konno — w pogotowiu, nie wiedząc, co ich czeka.

Niestety nic ich nie czekało... o! gdyby jeden żołnierz polski!... Pomyślałam z rozpaczą, choćby jeden... i użyć to okienko za strzelnicę... i nie otworzyć drzwi...

Otworzyłam i stanęłam. Oczka mówiła, że byłam trupio blada — nie bałam się, ale mnie pożerała nienawiść.

Dwóch zeskoczyło z koni: ten co mnie zawołał z góry i drugi z rewolwerem w ręku i palcem na cynglu.

Kozak był starszym, bo rozkazywał tamtym i był, jak wszyscy zwierzchnicy bolszewiccy, w przeciwieństwie do żołnierzy, wybornie ekwipowany. Buty, kurta, broń, rzemienie skórzane, pochwy rewolweru—wszystko nowe i świetne. Był bardzo młody, też jak wszyscy zwierzchnicy.

— Gdzie pan?—zapytał—prowadź.

Miał typ raczej łupieżcy, niż mordercy, jakąś gorączkową śpieszność w ruchach, i zaraz pomyślałam, że z jego rąk nie zginiemy.

— Pana niema, jest tylko staruszka... i my... same kobiety...

...Proszę jej nie straszyć... boi się... my wszystko pokażemy...

...Pan ma matkę, prawda—usłyszałam jak przez mgłę głos Oczki—niech pan jej nie straszy.

Mówiłyśmy jedna przez drugą, myśląc rzeczywiście tylko i jedynie o tem, by oszczędzić mojej babce nagłego widoku bolszewika.

- Gdzie haziajka — powtórzył — prowadź — słuchając naszych słów bez najmniejszego wrażenia.

— Ja haziajka — rzekłam rozpaczona — bo rozpychając służbę, kierował się na schody, gdzie zaraz pierwsze były pokoje mojej babki.

Spojrzał na moją chustę i rzekł groźniej —

— No, mówię, prowadź do starej.

Wtedy w zupełnem milczeniu i nie zdążywszy go wyprzedzić, szłyśmy na górę i zaraz wszedł do mojej babki.

Lśniące stare meble mahoniowe wydały mu się nie do zniesienia widocznie, a wielka palma, sięgająca sufitu, jednym z najgłupszych absurdów na ziemi. Pokój był nienaruszony, w ładzie i starej kulturze.

Moja babka na jego widok stanęła ze złożonemi rękoma, bez ruchu, matka dwóch rozstrzelanych w Rosji męczenników.

Ja zaraz odezwałam się możliwie towarzyskim tonem, jak liczne razy, wprowadzając kogoś do tego salonu, i bardzo łagodnie:

— Babciu... pan... bolszewik... chciał...

— Pieniądze — syknął — złoto — już miałam potwierdzenie, że to tylko bandyta i że mu śpieszno. Wydało mi się to bardzo pomyślne.

Babka moja nie była zdecydowana, czy wydać pieniądze. Miała je wszystkie razem. Ja nie miałam sekundy wahania, że trzeba wszystko dać.

Zaraz też powiedziałam:

— Ależ są pieniądze, jest trochę, proszę —

I prowadziłam go do biurka, gdzie wiedziałam, że babka ma pieniądze.

Otwieraliśmy szybko wszystkie skrytki odwiecznie starego sekretarzyka. Znalazł pieniądze, schował do kieszeni, a potem rozejrzawszy się po pokoju, z wściekłością zaczął wyrzucać wszystkie papiery i przedmioty z szuflad.

Jednocześnie po domu rozlegał się gwar, stukot butów sołdackich i chrzęst oręża.

Służba biegała pilnować, co robią tamci, a myśmy we trzy stały, przyglądając się kozakowi w milczeniu.

Szybkość tych rąk złodziejskich była niesłychana, przerzucał, chwytał, patrzał, chował, to znów ciskał.

Gdy dotarł do jakichś listów, z czcią związanych osobno i one posypały się na ziemię, moja babka jęknęła.

— O! Boże, listy...

— Babciu, nic... to rewizja... konieczna...

Ale dygotałam ze wstrętu.

Nagle przypomniał sobie o mnie.

— A ty, pieniądze?...

Cały zapas po za pieniędzmi mojej babki był w woreczku. Zupełnie obojętnie tylko z przekonaniem rzekłam:

— To jest wszystko, co mam na utrzymanie staruszki. Zostawcie mi cokolwiek.

W głosie moim nie było, Bóg świadkiem, najmniejszej prośby.

Wyłożyłam wszystko z woreczka i usunęłam się. Przejrzał i rzucił na stół.

— Bierz z powrotem!

Również spokojnie wzięłam i schowałam.

A drugi, co stał wciąż z palcem na cynglu rewolweru, dziki i ohydny, mruknął grubym głosem:

— Co ci po pieniądzach, kiedy my i tak was wszystkich weźmiemy.

Wówczas uczułam grozę bez granic daremnej ofiary i wszystkiego straconego.

Wśród wielu myśli to jedno nie przyszło mi dotąd ani na chwilę na myśl. Śmierć, tak — ale wywiezienie — poniewierka, powolne konanie. O tem nigdy nie myślałam, a jakież to było proste. Naturalnie... Kogo zastaną we dworach, wywiozą... a tam gdzieś w Rosji!.. miłosierny Boże!..

Spojrzałam na moją babkę. Stała wciąż bez ruchu, blada ale błękitnych oczu nie spuszczała z kozaka i był w nich ból, a nic strachu.

Kozak przeszedł do sypialnego. Tam były dwa duże portrety synów, pamiątki — pięćdziesiąt lat życia w tym domu.

Znów szybko otworzył szuflady toalety i zaraz zobaczył złoto, chował błyskawicznie do kieszeni.

ale tego naszej zacnej towarzyszce było zawiele. Miała pietyzm dla mojej babki i nie mogła wytrzymać.

Wielką broszkę z drogim kamieniem pamiątkową wyrwała mu z ręki i nie mogłam pomimo grozy położenia powstrzymać się od śmiechu, gdy usłyszałam jej słowa:

— No, cóż ty bierzesz, toż to szkło; śmiechu warte, tem sobie zapychać kieszenie.

Potem wziął broszkę z rubinem w filigranowej oprawie.

I znów słyszę głos nie tajony świętego oburzenia:

— Dęte, dęte, rzućże to.

Z kolei krzyżyk brylantowy. Myślałam, że do trzech razy sztuka... ale potem...

— Szczęścia ci nie przyniesie, w pierwszym boju zginiesz.

— Czort tjebja pobieri — krzyknął i wybiegł z pokoju, wziąwszy resztę biżuterji i mój złoty zegarek, którego z ręki zdjąć nie zdążyłam.

My za nim, zamykając drzwi od mojej babki, by chwilę odpoczęła.

Pierwsza osoba, na którą się natknęłam, to była pokojówka mej babki, dzielna i religijna dziewczyna. Stała zmieniona do niepoznania, dygocąc na

całem ciele, na środku garderoby. Trzęsły jej się ręce, usta, jak w febrze.

— Olesiu — zawołałam zagniewana — spokoju, cóż takiego?

Kozak biegał po domu, szukając złota — drzwi wszystkie otwarte, hałas sołdackich nóg.

Ona milczała, trzęsąc się chorobliwie. Znów się uśmiechnęłam, tak mnie zabawiło.

Ale do mnie zbliżyła się towarzyszka mej babki, pierwszy raz z twarzą pełno grozy.

— To straszne — rzekła — nie śmij się... jakiś sołdat zaprowadził ją samą daleko... usłyszałam krzyk... gdybym nie nadeszła...

Otoczyły ją kobiety a ona opowiedziała z prostotą, że gdy jej groził rewolwerem, padła na kolana przed obrazem Matki Boskiej, który był właśnie w tym pokoju i zawołała:

— Matko Najświętsza, ratuj!

A później do niego z uniesieniem:

— Strzelaj!

Ale nie strzelał, tylko uciekł, jak przed warjatką. Śmiałyśmy się przez łzy.

Ale wracał już z błyskawicznego obejścia domu, strychu i piwnic pierwszy kozak i sytuacja się pogarszała, bo nie znalazłszy nic cennego, stawał się brutalniejszy.

— Dawajcie złoto, bo będzie źle.

## III.

— Złoto dawaj!

Wtedy pomyślałam, że ten brak złota i srebra w dużym domu jest rzeczą groźną.

Zaczem perswadowałyśmy tak:

— Nie było złota, Niemcy ograbili przedtem; co było, toś już wziął.

A ja, wspomniawszy obładowane biżuterją moskiewice, dodałam z przejęciem:

— I brylantów nie było, ale książek pełno, idź zobacz, i nauka — i szkoły...

Chciał coś powiedzieć, gdy zadzwonił telefon Drgnął i twarz obojętna ożywiła się złą siłą. W jednej chwili był przy aparacie. Oczka właśnie kładła słuchawkę, powiedziawszy parę słów. Nie powinna była się odzywać. Niebezpieczeństwo było duże.

— Z kim mówisz — krzyknął — może z Łomżą... aaa?

Łomża była w naszem ręku i nasze druty prowadziły do miasta!

Błysnęła szabla i strzaskał telefon z hukiem.

— Telefonowała kasjerka z podwórza — powiedziała Oczka tonem prawdy i spokojnie — chciała nam dać znać, że już jesteście; powiedziałam, że właśnieśmy wam otworzyły drzwi.

Ja oniemiałam z gniewu na pomysł kasjerki. Kozak zaś był zelektryzowany, jakby niespokojny — nic dziwnego, bój był tak blisko.

— No, zobaczymy kasjerkę — krzyknął — jeśli kłamiesz... i wybiegł pędem.

— Oczka mówiła prawdę! — ależ tak.

— Fatalnie się stało. Co za pomysł! On to weźmie za donos do Łomży. Niech pani słucha.

W istocie od paru godzin bitwa na fortach się wzmogła. Było to tak blisko. Pierwsze forty w majątku przylegającym do naszego. Listopadowa ulewa z zawieruchą trwała od dnia poprzedniego bez przerwy.

Dom był chwilowo pusty. Za starszym wybiegli i tamci. Czy się bali zasadzki? Czy wrócą i z czem?

Nie było jednak chwili do stracenia. Błyskawicznie pokrowce na meble, palmy do oranżerji, cenne drobiazgi rozrzucone po strychu, futra, poduszki do pokoi służby, trochę produktów i porcelany do salonu mojej babki, by tam wszystko skupić, co niezbędne.

I ciągle myśl, że ten kozak wróci. Otwierałyśmy wszystkie szafy, stoły, skrytki, dobierając klucze gorączkowo—by nic nie było zamknięte. Wtedy rąbią.

Zjadłyśmy coś naprędce, zrywając się ciągle z ważnem przypomnieniem. Tylko do moich pokoi na dole, prosto od ganku, gdzie miałam wszystko, nie przyszło mi nawet na myśl zajść. Zapomniałam o ich istnieniu!

Chodziło o jak najsprawniejsze urządzenie możliwości życia w ciasnocie 3 pokoi, o produkty rozłożone, by nie wykradli odrazu, o garnki, o świece, mydło i wodę.

Byłam właśnie w odległej spiżarni, by wybrać co najważniejsze i kazać złożyć przy kuchni, gdy usłyszałam głos pokojówki pełen wzruszenia:

— Panienko, już jest, panienki woła!

Spojrzałam na zapasy, rozumiejąc, że skoro wrócili, to już nic z nich nie uratuję i że nas czeka nim co innego, to pewno głód.

Szłam dolnemi pokojami, przy schodach spotkałam dwóch naszych ludzi: wiernego stróża, który podczas trzyletniego wygnania uratował nam wszystko pod Niemcem i jednego rzemieślnika.

Byli bladzi. W około kozacy przytraczali konie do ganku. Lało i huczały armaty.

Z góry rozległ się rozkazujący głos:

— Barysznia!

Mimowoli, wstępując na schody, spojrzałam na tych ludzi. Nikt się nie ruszył. Szłam sama na górę.

W stołowym przy strzaskanym telefonie stał ten sam pierwszy kozak.

— No, twoje szczęście, że była prawda z telefonem—bałaś się?

— Nie, nie bałam się.

Był jakiś złagodniały. Może podpity. Dla mnie i teraz, i przedtem przerażający.

Czułam, że nie mogę odejść, bo mnie na nowo zawoła, nie chciałam tego za nic usłyszeć.

Zaczął w każdej szafie, kredensie przewracać, szukać; złodziejskie ręce bez wstydu miętosiły wszystko i zaraz co przejrzał, rzucał na ziemię. Na całem piętrze nie było nikogo.

Wtem zjawiła się pokojówka, którą powitałam jak zbawienie, i powiedziała cicho:

— Proszę odejść, ja zostanę.

Była to ofiara, bo na jej twarzy malowało się jeszcze minione przerażenie, z tych ofiar, których się nie zapomina, jako coś jaskrawego w ciemnościach i pięknego. Taki drobiazg w innych warunkach... a teraz!...

Odeszłam i wtedy po raz pierwszy mogłam uklęknąć i zmówić litanję do Serca Jezusowego, prosząc za całość tego domu, który był gniazdem smutnem od lat kilku i za nasze losy. Przypięłam też

do ściany salonu wizerunek Serca Jezusowego i doznałam szczerego spokoju.

Ale wokoło hałas się wzmagał, więc wyszłam na schody patrzeć, co się dzieje.

Wszystkie drzwi na dwór szeroko otwarte, wilgoć i wiatr szedł z dołu, a kilkunastu kozaków biegało, wyłamując kłódki od skrytek, od kufrów na strychach i szukało srebra, złota i jedzenia. Nie znajdowali, więc zostawiali nieprawdopodobny nieład, i znów szukali dalej.

Starszy rozparł się na kanapie w salonie na dole i, zawoławszy na służące, kazał sobie dać jeść i częstował je cukierkami. Śmiał się—był pijany.

Uciekłam na górę i jeszcze słyszałam głos kucharki, której odwaga była równie wielka, jak upodobanie do dobrego jadła.

— Aha!... już się zaczyna... my mamy zdychać z głodu, a wy się najeta...

– Nie dam, nie dam — krzyczała dyszkantem, bo jej któryś widać coś z pod ręki wyciągał.

I zaczął się dom otwarty.

Momentalnie wraz z pierwszą partją poginęły klucze od ganków; wiatr świstał po domu, a co chwila wpadały bandy, lub pojedynczy kozak, czasem groźniejszy od kilkunastu razem i żądał pieniędzy, złota i jedzenia.

Co do jedzenia, wydałam rozporządzenie, by stanowczo nie odmawiać, tylko karmić. Bez tego

mogli z wściekłością łatwo odkryć trzy śpiżarnie i pozbawić nas odrazu wszystkiego.

W chwilach wolnych między jednymi a drugimi biegałyśmy z Oczką, kryjąc wiele rzeczy.

Tymczasem na fortach łomżyńskich trwał opór nieprzewidziany dla bolszewików i bardzo dla nich krwawy.

Z radością, ze złożonemi rękami, czasem ze łzami, słuchałyśmy mitraljez. Był jakiś opór. Ta paląca męka, że najeźdźca szedł w cudzą ziemię, jak w otwarte wrota, może się skończy!... O! jakże groza osobista wydawała się błahą wobec tego rzeczą!...

Zarazem zaczęłyśmy się spodziewać, dygocząc ze wzruszenia, oddziału polskiego, który pobije kozaków. Może ten dom będzie terenem walki—nawet napewno będzie... bo ich złapią w domu... Patrzyłyśmy na nich, jak na bezmyślnych skazańców... Nic się nie obawiali. Konie wciąż stały przytroczone do ganków, oni rozpierzchnięci po ogromnym domu.

Pod wieczór pokoje miały taki wygląd, że już nam wierzyli nowi napastnicy, gdyśmy mówiły:

— Zapóźno, już tu wcześniej ograbili!

A właściwie, jak dotąd, to ograbili bardzo mało, bo złota i srebra nie było, a większych rzeczy na koń brać nie mogli.

Pytali się z wściekłością, kto grabił i złodziejskie ich dusze były niepocieszone. Taki dom i już inni uprzedzili!.. Zabobonne natury widziały w tem

fatalną wróżbę. Niektórzy smutnieli, inni żądali jadła ze zdwojoną furją.

Zadawalali się jedzeniem w kuchni. Stamtąd szły głosy, śmiechy, które nas bardziej przestraszały od krzyków — i zgiełk.

Około pierwszej w nocy położyłyśmy się w ubraniu—czujne na każdy odgłos ze dworu.

— O! żeby teraz wpadli nasi, Oczku — mówiłam zmęczonym głosem.

— Dajże pokój, tobyśmy ładnie wyglądały.

Ale byłby z nimi koniec, ani się spodziewają... trzeba koniecznie dać znać do Łomży... przecież ich jest ledwo kilkudziesięciu we wsi. I forty nasze...

— A znajdź takiego bohatera, co pójdzie... — powiedziała ironicznie Oczka, bo rzeczywiście, żywy duch się u nas przez cały dzień nie pokazał i ludzie kryli się w strasznym lęku.

A zaraz potem powiada z wielkim spokojem:

— Ja tylko jestem ciekawa, czy za nimi przyjdą Chińczycy, jak oni mówią, bo wtedy to już koniec.

— Trzeba się będzie zapytać — odrzekłam, bezgranicznie śpiąca.

Obie milczałyśmy przez dłuższą chwilę.

Nagle mi się przypomniało.

— Trzebaby bramy pozamykać, bo jeśli będą uciekać z pod fortów w nocy, to wpadną w otwarte bramy — a tak może miną...

— Maciej zamknie.

— Nie, on ich pilnuje w kuchni. Trzeba iść samym.

Wstałyśmy.

Na podwórzu stajennem nie było nikogo. Bramy otwarte, obaj stangreci gdzieś schowani.

Zamknęłyśmy bramy i weszły do domku stangreta, który pięćdziesiąt lat u nas służy.

Oczka prosiła, by u nas nocowali — stary był chory, jak mówił; młody miał tchórzowską, nieprawdopodobną bladość na twarzy — i nie można było na nich liczyć w najmniejszym stopniu.

Nie oburzyło mnie to. Jak się zostało, można było liczyć tylko na łaskę Bożą i — na siebie. I nic nie wymagać od nikogo, bo inaczej — goryczby zalała serce.

Wróciłyśmy i z radością usłyszały od Macieja, nocnego stróża, który jeden przez cały miesiąc próby nas nie opuścił, że odjechali.

Dom był pusty. Co to była za chwila rajskiej ulgi!

Stary Maciej z doświadczeniem wojennem, datującem się od wojny krymskiej, zapewniał, że w nocy nie przyjdą—boją się zasadzki.

Więceśmy zasnęły z słodkiem poczuciem, że w tym dniu mogła być śmierć, a była tylko dzika rozmaitość. A o piątej obudziło nas łomotanie.

## IV.

Byli to znowu kozacy, przemoczeni do nitki Całe szczęście, że byli głodni, bo myśleli tymczasem tylko o jedzeniu.

Kilku w susach obiegło dom i zreferowało reszcie, że mieszkanie istotnie wygląda, jak już „zrewidowane“, to jest: splądrowane doszczętnie.

Myśmy zostawiły naumyślnie strzaskany telefon na ziemi, szafy szeroko otwarte (choć jeszcze pełne rzeczy) i papiery, książki, materje, drobiazgi, poniewierające się wszędzie.

Tylko w tych trzech pokojach przez nas zajmowanych, ze względu na moją babkę, uprzątnęło się po wczorajszej napaści. Zresztą ten ład mnie niepokoił—był wyzywający. Jedyną jeszcze rzeczą prowokującą był różaniec, który znalazłam na strychu wyrzucony z rozbitego kufra; włożyłam go na szyję, nie mogąc się oprzeć tej chęci — ale suknie nasze, wygląd był więcej niż skromny, i nawet ci wszyscy

nie pytali kto jesteśmy - choć na Oczkę wołali „haziajka“, a na mnie „barysznia“.

Czasem domagali się widzenia babki i wtedyśmy ich prowadziły z uczuciem wewnętrznego przerażenia.

Wpada taki, patrzy, babka, nic nie mówiąc, stawała na jego widok, a on wychodził po chwili, nie odezwawszy się, jakby zmożony tą powagą męczeńskiej starości.

W tych dwóch pokojach, sypialnym i salonie, nikt już po za pierwszym kozakiem nie plądrował.

Ale pod wieczór drugiego dnia, gdyśmy wiele widziały twarzy dzikich, oczu nawskróś zbrodniczych, palcy na cynglu rewolweru i jeszcześmy spokojnie żyły, powiadam Oczce:

— Najgorsze jest za nami — jestem zupełnie przekonana.

— Gdzieżtam—westchnęła—to dopiero kozacy... Za nimi przyjdzie piechota... i... głód.

— A kitajcy, Oczku—powiadam przekomarzająco — przecież coś dla nich zostawią.

W przyjście Chińczyków zupełnie nie wierzyłam i było dla mnie coś komicznego w przerażeniu, jakie wzbudzał ten mit.

Na schodach usłyszałyśmy brzęk ostróg. Dwóch czerkiesów dwóch bolszewików o potwornych fizjognomjach szło pewnym krokiem ku nam. Byli to starsi, dobrze ubrani czerkiesi, jak zawsze z lśniącą wstęgą ładunków na piersi; tamci z czerwonemi ko-

kardami. Wszyscy młodzi i twarze ostre, okrutne, zęby bardzo białe — śmieli się, ale tak, że człowieka przechodziły ciarki.

Stałyśmy: Oczka, ja i pokojówka właśnie, nadsłuchując strzałów na górze, tuż przy schodach. Metodą ustaloną patrzyłyśmy im prosto w oczy ze spokojem, który miał im sugerować następującą niby pewność naszą:

— Nawet mi przez myśl nie przechodzi, żebyś mi mógł co złego zrobić. Jesteś bardzo oryginalnem widowiskiem na naszej ziemi. Pozwól, że ci się dokładnie przyjrzę.

I w tem spojrzeniu może za wiele, jak na sytuację, zimnej nienawiści, ale spokój, spokój i spokój. Lęk u ofiary rozbestwia ich—o tem wiedziałam oddawna.

Jeden spojrzał na mnie ze szczególną przenikliwością – wtedy zawsze na mgnienie miałam poczucie, że może już wie, kto jestem, i przychodzi po mnie.

Otuliłam się wielką chustką, którą nosiłam stale—i czekamy. Nigdy mi się nie zdało, żeby kto tak długo szedł po tych starych schodach — jak ci czterej ludzie.

— Chcemy jeść w pokoju — rzekł czerkies.

Zaraz na prawo był pokój gościnny, odruchowo nie wskazałyśmy stołowego, tylko ten.

Rozsiedli się, mokrzy, bo deszcz wciąż lał, i zadowoleni z dachu nad sobą.

Ja się cofnęłam, bo ten jeden czerkies mnie niepokoił i słyszę z korytarza taką rozmowę z panią Oczką i pokojówką, która szykowała im stół i nakrycia.

— Będziecie probowały jedzenia przed nami!...

— Boicie się otrucia?

— Djabeł was wie, niedaleko tu kobieta otruła naszych kilku.

Chwila milczenia. Czuję, że Oczka myśli o tem, co tamtę za to spotkało...

Po chwili jej głos, pełen szczerego przekonania:

— Nie, nigdy w życiu bym was nie otruła. Co innego, gdybym mogła całą armję wrogą... to nie mówię, pewno... ale tak kilku samych...

Parskam śmiechem pierwszy raz pod inwazją i mówię sobie, że to się nie nazywa dyplomacja, tylko odwaga!...

Oni też się śmieją. Nie dziwię się. Taka odwaga jest rozbrajająca.

Potem dają im jedzenie i musimy wszystkie próbować.

Jeden pyta Oczki:

— A ty kto?

— Służyłam 23 lata u nich, prowadziłam ochronę.

— A! ty głupia! 23 lata u burżujów!—No, nabierz sobie przynajmniej wszystkiego, co zostawili. Już ty ich nie żałuj.

— Kiedy byli dobrzy.

— No, dobrzy, dobrzy, ale już ich nie będzie A co znajdziesz, to twoje, to ja ci mówię — rozumiesz?

— Rozumiem, ale ty znowu nie rozumiesz, że ja jestem katoliczka i mnie cudzego brać nie wolno.

— Czort tjebja pobieri — mruknął zniechęcony, i poszedł przewracać w szafach.

Wrócił z rękoma pełnemi i obdarowywał służące naszemi rzeczami.

Oczce wciskał w rękę parę rękawiczek i mówił

— No, bierz, bierz, nie bądź głupia!

— Nie trzeba mi rękawiczek — powiada Oczka, korzystając z jego dobrego usposobienia — ale powiedz mi, czy to prawda, że za wami idą kitajcy?

Wybuchnęli śmiechem — ale strasznym. Była w nim żywiołowa radość z ujawnionego nareszcie lęku i jakaś bez zmiany, przepaścista dzikość.

— Czy idą!? — powiada jeden przez drugiego — wielkie wojska kitajskie są z nami.

— I tylko idzie i dźga...

— Oni to nie to, co my, nakarmisz i pójdą. On wpada, nie rozumie, nic mu nie wytłumaczysz i morduje nożem... to ludzie dopiero—zobaczysz nie długo! zobaczysz!..

Nie widziałam twarzy Oczki, do której to mówili: ale już mnie śmiech odbiegł. Może to i prawda—myślę.

— Cóż—powiada znów ze spokojem Oczka — nas nie zamordują, bo my nie burżuje.

— On tam rozezna! — błysnął znów zębami czerkies — dom wielki, wpada i — koniec wasz...

Poczem najedzeni odeszli.

Ale w pół godziny potem, gdy byłam w odległym jakimś pokoju, chowając coś ważnego, przyszła dzielna moja towarzyszka i mówi ze zmienioną twarzą:

— Daj spokój! To jest przerażające, pytał kto ty jesteś i kazał sobie pokazać, gdzie sypiasz.

— I Oczka pokazała?

— Musiałam.

— Powiedziała Oczka, że jestem ubogą kuzynką?

— Powiedziałam, ale co go to obchodzi!..

— No, nic... czy oni odeszli?

— Już.

— Trzeba będzie dziś koniecznie zamknąć drzwi frontowe na noc.

— Wiesz, że niema klucza — mówi Oczka beznadziejnie.

— Jest jakiś haczyk i — trzeba żeby Maciej nie spał w kuchni, tylko przy drzwiach czuwał.

— Otóż właśnie z Maciejem! on powiada, że musi ktoś jeszcze na noc przychodzić, bo on sam nic nie znaczy i poprostu strach go bierze.

— Rozumiem. Ale o tem niema mowy, bo nikt nie przyjdzie.

— To straszne. Trzeba o kogoś się wystarać.

— Pani droga, nasi ludzie siedzą nocami po piwnicach, drżąc o dzieci i o żony, a pani chce, by pilnowali!

— To prawda!

— A właśnie.

— Posyłałam do browaru po drożdże, bo nie ma już ani kawałka chleba, więc jak wpadną o jedzenie, będą się wściekali, ale nie chcą dać drożdży...

— Coo? Nasi? To niemożliwe—powiedziałam.

— Trzy razy posyłałam i nie mam drożdży.

— To jest ważne — chleb musi być... to ja pójdę po drożdże.

Narzuciłam wełnianą chustkę i wyszłam w ulewę nieprawdopodobną, trzymając w ręku dzbanek na drożdże.

Na dużym dziedzińcu przy stajni cugowej, tuż za ogrodową bramą, było ich kilku. Wymachiwali butelkami od piwa, jak granatami ręcznemi. Mieli fizjognomje takie, od których się na chwilę słabo robi, z obrzydzenia i zgrozy.

Przeszłam koło nich wolnym krokiem i szłam wśród bydła, które wracało z pastwisk, na dziedziniec fabryczny.

Po drodze ludzie mnie poznawali i blade twarze uśmiechały się przyjaźnie, ale dyskretnie; wokoło kręcili się wszędzie kozacy.

Byli i tacy, co odwracali na mój widok oczy, lub patrząc, nie uchylali nawet czapki, takich wśród

służby było kilku, co przez cały miesiąc samo zjawienie się moje uważali za niepodobieństwo oczywiste dla siebie!

Przy takich lubiłam mówić ze śmiechem:

— Moi drodzy, żebyście wy wiedzieli, tak jak ja, że jeśli komu, to mnie grozi niebezpieczeństwo, a nie boję się — tobyście spali spokojniej.

Na dziedzińcu fabrycznym, gdzie tak rzadko bywałam dotąd, a gdzie przyszło mi teraz spędzić kilka tygodni pracy i głębszego obcowania z ludźmi—byli zgromadzeni prawie wszyscy pracownicy.

Było zdziwienie na mój widok. Dezorjentacja, ale naogół przychylność widoczna.

## V.

Zrobiło mi się jakoś przyjemnie wśród tych uczciwych twarzy ludzi pracy, po dwóch dniach obcowania z bandą złodziejską, i powiedziałam serdecznie:

— No! nie przyszedł nas nikt odwiedzić, więc ja przyszłam... i drożdży nie chcieliście dać podobno... to ładnie!

Otoczyli mnie odpowiedzialni pracownicy. Mieli twarze zmęczone i uderzyła mnie tych polskich twarzy zacność. Młynarz, mechanik, bednarz powiedzieli, że mieli dwa dni straszne, broniąc od grabieży.

— Ot i teraz, niech pani patrzy — rzekł z beznadziejnym ruchem p. Osmólski.

W głębi podwórza uwijało się kilkunastu kozaków i do naszego ładnego powoziku, zaprzężonego w nasze konie, z kozakiem na koźle, pakowali antałki z piwem. Poczem, zdzieliwszy konie batem tak dziko, jak tylko oni potrafią, popędzili w deszcz i w nieznane strony.

— Nie płacą?—zapytałam.

— I mowy o tem niema, jak my im mówimy, że z głodu pozdychamy, jak nam cały zapas piwa wezmą, nie płacąc, to rewolwerami grożą. Mnie o mało nie zabili.

— Muszą płacić — powiedziałam — niech tylko się jaki komisarz zjawi.

Potem poprosiłam o drożdże i, czekając na nie, obserwowałam: To byli wszystko robotnicy—ognisko przemysłowe, tacy, na jakich najbardziej liczą bolszewicy. Wykonywali rozkazy kozaków co do piwa i zboża, ale nie rozmawiali z nimi, nie pytali o nic—wyglądali jak ofiary, nie jak sprzymierzeńcy. I kryli po kątach, co było cennego. Odetchnęłam z ulgą—ludzie o polskiem sumieniu. Byli w tej chwili, siłą rzeczy, panami tej fabryki i folwarku, i bronili tego dobra. Dla siebie? dla Polski? dla właściciela? to można było sprawdzić dopiero później.

Przyciszonym głosem pytaliśmy się wzajemnie o wiadomości. Forty się bronią. I amunicji musi nie braknąć, bo kanonada trwała dniem i nocą; rozróżniali także niektórzy, że muszą być w Łomży tanki, bo pociski szły czasem o szczególnym dźwięku.

Kozacy stali o kilkanaście kroków, a myśmy marzyli, kiedy i jak wejdą nasi.

Ja miałam wciąż obsesję, by dać znać do Łomży, że u nas jest zaledwie kilkudziesięciu i by ich wybili. A niechby pociskami na dwór!.. Niechby gru-

zy!... byle ta hołota... o pięć wiorst byli nasi i bili się walecznie — o oddaniu Łomży nikt nie mówił nawet — czyżby nie było w całej wsi — powiedziałam z siłą — jednego człowieka, coby chciał iść i powiadomić dowództwo w Łomży, jak tu jest.

Ludzie kręcili głowami.

Na łąkach bój... wycieczki naszych z fortów biją się z kozakami... wczoraj padł zaraz na granicy Drozdowa ten pierwszy kozak, co był we dworze.

— A dalej pełno ich patroli... a na moście to i stąd można widzieć, jak padają pociski... duże boje... Nie dojdzie...

Popatrzyłam na nich kolejno, zarazem czując że nie można wymagać od kogoś tego, czego sama nie robię. A ja nie miałam prawa zostawiać babki. I patrzyłam na łąki z prawdziwą rozpaczą.

Wróciwszy do domu, zastałam pierwszego komisarza. Siedział w pokoju na dole, wokoło pełno ludzi, baby, chłopi, z zaciekawieniem patrzyli.

Był ubrany czarno. Sześcioramienna, żydowska gwiazda na czarnej czapce, czarna też skórzana kurta i buty. Nie miał twarzy groźnej—raczej moskiewską melancholję w obliczu i szalone znużenie. Stałam, patrząc i słuchając tego, z czem przyszli do niego ludzie.

Skarżyli się na kradzież, dopytywali, jak i co będzie, jaka władza na miejscu i kiedy? Och!... nie stali, jak wobec wroga, ale jak wobec zwierzchnika.

Językiem najeźdźcy posługiwali się biegle, jakby z upodobaniem.

Przy komisarzu siedział w zwykłym szynelu żołnierskim młody żyd.

Komisarz powiedział, że nikomu krzywda nie będzie, że przychodzą, jako przyjaciele ludu, wyzwolić go z niewoli panów. Skargi przyjmuje na wsi, w chacie, gdzie obrał sobie kwaterę.

Ale ludzie nie mogli wytrzymać i posypały się skargi. Nie za najazd, nie za krew synów, laną o pięć wiorst od tego domu, nie za brutalne w chatach noclegi...—tylko za wiązkę siana, za parę butów, za branie podwód, za cielaka.

Gdy oni się rozeszli, pocieszeni na duchu i ufni, że jest już władza, która im krzywdy nie da zrobić— ja się zbliżyłam do komisarza.

— W tym domu zostałyśmy same kobiety! — rzekłam.

— I grabią?—przerwał.

— Bardzo. Nie o to mi chodzi. Chcę tylko pana uprzedzić, że jeśli jeszcze kilka dni potrwa ten rabunek piwa z browaru, to najpierw będziecie mieli wojsko w okolicy zupełnie pijane, a powtóre, kilkadziesiąt rodzin robotniczych zostanie bez środków do życia i zaczną się zamieszki głodowe.

— My płacimy za wszystko, co bierzemy.

— Nie — powiedziałam sucho — ale za piwo należy płacić, bo żyją z niego robotnicy.

— Niech się w browarze utworzy z miejscowych komitet rewolucyjny i nie daje nikomu piwa darmo.

— Grożą rewolwerami.

— To się nie powtórzy. Wydam rozporządzenie.

Naturalnie, że to się jeszcze wiele razy powtarzało, i wiele jeszcze wpadało band, które, nie dając sobie mówić słowa, rabowały antałki — ale naogół od tej chwili robotnicy żądali zapłaty i uzyskiwali ją często.

Wieczorem powstał, pod przymusem, drozdowski komitet rewolucyjny. Ogólne wybory postawiły na czele zacnych ludzi: młynarza, mechanika i jednego robotnika, jako głównego kontrolera. Ale fabryka, na którą patrzyłam od wielu lat, jako na własność prywatną, stawała się z godziny na godzinę istotniejszą komuną. Było to w powietrzu, w nieuchwytnej atmosferze drgań, w sile faktu dokonanego. Podziwiałam, jak ludzie prości łatwo dostosowują się do istniejącego stanu rzeczy — wymazując zupełnie z wyobraźni przeszłość i przyszłość.

Ale radość, że Łomża wciąż się broni, była szczera i powszechna.

Komisarz wyszedł, powiedziawszy, że może się nazajutrz sprowadzi do dworu.

Późnym wieczorem odwiedzili nas w swym nowym charakterze zarządu rewolucyjnego Sowietu

Drozdowskiego, nasi ludzie z fabryki i folwarku. Byli poczciwi i przyjaźni, na noc nie mogli zostać, bo mówiono, że będzie duży atak z naszej strony i szczególnie podwórze gospodarskie w dole nad rzeką, rozumowano, że musi być bombardowane... Spędzali już dwie noce z rodzinami na melcuchu. Pytali, czy nie lepiej, byśmy tam były z nimi. Ale myśmy nie chciały mojej babki narażać na tę niewygodę i wyprawę w deszcz i zostałyśmy.

Uprosiłam Macieja, by nocował przy drzwiach frontowych i położyłyśmy się w ubraniu spać. Trochę mnie wizja czerkiesa i hińczyków prześladowała, ale zasnęłam.

Obudził mnie w nocy okrzyk Oczki:

— Jezus! Marja! dobijają się!

Wspomniałam dziki śmiech barbarzyńcy i miałam jedną z najgorszych chwil podczas miesięcznej okupacji.

— Oczku — szepnęłam — może to oni... ja nie mogę otwierać... pani rozumie...

Ale już szlachetna moja towarzyszka zrywała się momentalnie, mówiąc:

— Ależ naturalnie... zamknij się na klucz... ja idę...

I wyszła.

Jednocześnie babka moja z przyległego pokoju mówiła, myśląc, że pytamy o nią, jak wiele razy, wśród nocy:

— Nie mogę spać, ale to nic, spijcie...

— Nie odpowiedziałam. Słyszałam dzielny głos Oczki, która wołała na Macieja, zbiegając po schodach zdziwiona, że pomimo łomotu on milczy. Okazało się, że spał, przy zamkniętych na prosty haczyk drzwiach, snem sprawiedliwego.

— Później otwieranie, znów te ohydne sołdackie głosy. Z zapartym oddechem czekałam, czy pójdą do kuchni, czy na górę...

— Oby nie czerkies, oby nie czerkies, miłosierny Boże! — powtarzałam sobie ciągle.

Po kilkunastu minutach wróciła Oczka — patrzyłam, nie śmiejąc pytać.

— Sprawdziło się moje przewidywanie — już mamy piechotę... — rzekła przybitym głosem.

— Chwała Bogu! — zawołałam z ulgą.

— Co ty pleciesz?.

— Ah! Oczku, wszystko, byle nie ci czerkiesi! Jestem uszczęśliwiona! a cóż to za jedni?

— Maruderzy piechoty, proszą jeść obdarci... hołota...

— Mają broń?

— Naturalnie, ale na sznurku i bosi.

— Zostali na dole?

— Jedzą w kuchni, Maciej jest z nimi.

— To my pójdziemy spać?..

— Chyba! Ale to straszne, że już jest piechota...—i czułam, jak myślała nie o nas, lecz o Polsce.

— Nazajutrz zaspałam i miałam fatalne obudzenie. Oczka, wychodząc, zwykle zamykała drzwi na klucz, ale czy zapomniała, czy zmuszono ją otworzyć, dość, że usłyszałam jej głos przejęty:

— Proszę tu nie wchodzić, tu jest tylko staruszka i służąca.

I naraz na progu stanął czerkies. Struchlałam Jej głos mnie obudził, a jego widok z wszelkiej rannej senności wytrzeźwił! Pomimo wrażenia poznałam, że to jest inny czerkies, nie wczorajszy i odetchnęłam możliwie najciszej, by mnie nie zauważył, ale z rozkoszną ulgą.

Był to ozłowiek starszy, jakiś zwierzchnik.

Widząc mnie leżąca nieruchomo na łóżku, w ubraniu, skonstatował obojętnie:

— Żenszczyna...

I wyszedł.

Obchodził cały dom bacznie.

Pierwszy komisarz więcej się nie zjawił i tego dnia rozpoczęła swój debiut złodziejski w naszym dworze piechota. Przeszła znacznie w umiejętności i wprawie kozaków.

Dzień zbiegł, jak jedna chwila. Coraz któraś służąca wpadała z wiadomością o nowem włamaniu i któraś z nas biegła na miejsce rabunku, by obecnością swą powstrzymać łupieżców. Okazała się przytem rzecz nieprawdopodobna: nawet taki zwierzęcy barbarzyńca ma uczucie wstydu.

I obecność nasza sprawiała, że choć włamywali się wszędzie, kradli stosunkowo mało. W innych dworach doszczętnie.

Tego dnia jednak zabrali wszystkie zapasy z dwóch śpiżarni, zabrali trochę futer ze strychu, wiele naczyń kuchennych i niemało pościeli. Ale jeszcze dom był pełen. Najprzykrzejsze z tego, to była strona moralna: już to wyłamali, już tamto, już tu dotarli. Zalew, potop, nieznośne osaczenie.

Oczka nie robiła sobie z nimi ceremonji: wyrywała im z rąk srebrne sztućce, które były wybornie schowane, a które znaleźli, pamiątki, cenne drobiazgi.

Piechota ta wyglądała niesłychanie: ani jeden nie miał butów, niejednemu gołe ciało wyglądało z pod łachmanów i byli w stanie jeść absolutnie wszystko i ciągle — pożerał ich jakiś głód nienasycony, nieludzkie wrażenie na nas robiący.

Ale dotarli do łomżyńskich fortów z pod Kazania, z Syberji, z Moskwy! O tem, by poszli naprzód, nie myślałyśmy ani na mgnienie — ale i tak... jak oni tu mogli dotrzeć?... o zgrozo! o piekący wstydzie!

Byłyśmy nazajutrz pod wieczór ogromnie wyczerpane. Z tą bandą piechoty nie było żadnego zwierzchnika lub niczem się nie dawał poznać — i po całym domu, ogrodzie, strychach rozlegał się gwar i tupot nienawistny. Ciekawe było też znikanie błyskawiczne z pod ręki resztek zapasów, które Oczka

twierdziła stanowczo, że zamykała na klucz w jedynej nie otwartej szafie na piętrze, przeznaczonej na podręczną śpiżarnię.

Nie! to coś niepojętego — słyszałam od czasu do czasu jej głos przy szafie: — Ja tu miałam przed chwilą jajka—i niema. Miód i niema... etc.

Ja stale odpowiadałam:

— Musiała pani zapomnieć zamknąć i wzięli.

— I myślałam, że jej się już może w głowie mąci...

— To jest niesłychane! Napewno zamknęłam.

Potem, miałyśmy w jedną straszną noc możność stwierdzenia, że to wojsko zwycięskie posługuje się wytrychami i gdy, z niewiadomych przyczyn, nie rąbie zamkniętych drzwi, otwiera je cicho i zamyka z powrotem — nie naruszając zamka.

A cośmy się nadziwiły nad tą magiczną szafą!... Byłyśmy już niedalekie od przypuszczenia nadprzyrodzonych wpływów!...

Po za czerkiesem rano i tym pierwszym kozakiem z asystą, w obu pokojach mojej babki nie plądrowali i nawet nie wchodzili. Któraś z nas zawsze przy tych drzwiach stała i broniła, jak umiała, od ich wtargnięcia. Muszę przyznać, że to nieprawdopodobne uszanowanie przez ludzi dzikich i zbrodniczych paru pokoi, gdzie przebywała stale moja babka, mogło mieć wiele powodów.

Najpierw dom jest tak duży, że nie tentowały ich specjalne trzy pokoje, gdy mieli do plądrowania poza tem przeszło trzydzieści! Nadto, wśród okolicznego ich wojska rozeszła się szybko wieść znacznie przesadzona, jak sprawdziłam potem w Łomży, że odrazu pierwsi kozacy nas obrabowali ze wszystkiego cośmy osobiście miały cennego. Ale ja zachowam do końca życia niezatarte poczucie, że to była taka łaska Boża, która graniczy z cudem, bo gdyby moja babka miała tyle wrażeń, co my, stykając się z nimi ciągle, toby napewno chyba nie przeżyła.

Zastanawiałam się właśnie nad tem, że jest jeszcze jedna piwnica, na myśl o której zimno mi się robiło i patrzyłam przez okno na podwórzowy pełen kwiatów ogródek, taki spokojny i dziecinny w swej wzorowej symetrji — który krył ciężkie dla nas niebezpieczeństwo.

Od ogródka było pochyłe wejście, roślinami zasłonięte, do piwnicy z miodem stuletnim, resztki z dużej piwnicy, przez Niemców i Moskali rozbitej. Dotąd nie miałam chwili, by coś z tym zapasem zrobić.

Zresztą zdawało mi się, że równe ryzyko jest ruszyć, jak zostawić — tylko o tem, że trzeba było potłuc te stare, o miłym dla mnie kształcie butelki, przypominające najlepsze dni, nie pomyślałam, choć czułam, że alkohol w domu to jest wielkie niebezpieczeństwo.

Patrząc teraz przez okno, widziałam kręcących się wszędzie bolszewików, którzy łazili niepozorni, ale tak liczni, jak robactwo.

— Już było zapóźno. Teraz tylko czekać, kiedy piwnicę rozbiją i co z naszym domem, pijani, zrobią. Tego się bardzo bałam.

Głębokie wzruszenie oderwało nagle myśl moją od tej grozy.

Przedemną stanął jeden z młodych robotników fabrycznych, ociekający deszczem, zgrzany, z takim wyrazem twarzy, że odrazu zaczęło mi szalenie bić serce.

— Chciałem z panią pomówić — i kierował się po pokoju babki.

Zamknął cicho drzwi za sobą, rozejrzał się i na moje pytanie:

— Co, Janku, co się stało?

Powiedział: Byłem w Łomży... u pułkownika... oto karteczka...

Zadrżałyśmy. Przed nami stał w nędznej bluzie, przemoczonej do nitki, chłopak bohaterski.

— Janku,- zawołała z uniesieniem Oczka—niech ci Bóg wynagrodzi. Ja płakałam, ściskając jego rękę. Wrażenie było tem większe, że rano na moją prośbę wyruszył, usiłując się dostać do Łomży stary stangret i po wielu godzinach powrócił, mówiąc, że niema mowy o przedarciu się, gdyż nietylko padają pociski na łąki i most, ale z pierwszego fortu, nasi biją

się z Moskalami, którzy ustawili mitraljezy w Kalinowie, sąsiadującym z nami — po drodze do Łomży. Słychać też było ciągle bliskie boje ręczne. To było na prawo od nas—a na lewo, po całych błoniach nieobjętych walką o most do miasta, uwijali się ciągle kozacy.

— Jakeś ty zdołał?... mów...

— No... nic... ale proszę przeczytać karteczkę... tu, między palcami niosłem cały czas... nie znaleźliby...

Na karteczce, którą czytałam sobie potem, jako talizman waleczności, setki razy, gdy stawało się coraz gorzej, na maleńkiej karteczce było drobnem pismem:

„Tanki nadeszły. Posiłki znaczne, duch doskonały. Proszę o odwagę i cierpliwość. Drozdowo będzie oswobodzone".

Uczucie—jakby otwarto na świat drzwi od grobu! I duma, szczęśliwa, rozpierająca pierś duma z oporu z polskiego żołnierza, z tego chłopca bohaterskiego. Co to była za piękna, wśród powszechnej boleści, chwila!

Janek powiedział z twarzą jasną.

— Pułkownik mi dziękował!

— Powiedziałeś, jak i co... że ich tak mało?

— Wszystko powiedziałem — rozpytywał... mówił — żem się spisał.

— No, pewno!.. więc Łomży nie oddadzą? pytałyśmy z zapartym oddechem.

— Ani mowy! Dzieci, kobiety noszą amunicję na forty... i rannych z fortów. Pułkownik dzień i noc na pozycji. Tanki...

— Widziałeś?!.. co? naprawdę?.. o Boże! co za szczęście!

— A most? Nie zdobędą go?.. Podobno walą w niego z Kalinowa? Nie uszkodzony?

— Gdzie tam! Zaraz za mostem stoją tanki i coraz to sobie spacerkiem na most... kule świszczą, a tankowi to śmiech... I wali.

— O Boże! Boże! jakież to cudowne!

— Wierzyć się nie chce, że on był wśród naszych wojsk... Oczku!..

— A powiedz, żołnierzowi nie brak jedzenia na fortach?

— Gdzietam! Wozy całe wożą im ze wsi, masła, jajek, chleba.

— No, ale ja już muszę iść... nie trzeba, żeby się spostrzegli — powiedział Janek spokojnie, ale z przezornością.

Rzeczywiście dom był pełen bolszewików.

— Naturalnie!.. idź już... zrobiłeś rzecz piękną, Janku!.. Pan Bóg widzi... Tak się może przyczyniłeś... że nareszcie... odeprą ich... I pomyśl, na naszej Narwi się załamią! Nie pójdą dalej!

— Tylko proszę nikomu nic nie mówić, bobym... — zaczął Janek.

— Ależ tak, bądź spokojny!

Wyszedł, potem niedbale szedł wśród Moskali i gwizdał.

A na naszych twarzach musiała być promienność, bo niedługo po domu i potem z domu dalej wśród swoich poszła wieść, że panie muszą mieć dobre wiadomości...

Tego dnia jeszcze do piwnicy z miodem nie dotarli i choć co chwila strzelali, niewiadomo do czego w ogrodzie i na podwórzu — miałyśmy noc względnie spokojną i głębokie poczucie radości. Łomża nietylko się broni, ale wroga odeprze; ta piękna, wijąca się przed naszemi oczami rzeka, którą od dzieciństwa kochało serce, będzie kresem najazdu, jakby najświetniejszą szalą!

Ale nazajutrz atmosfera była jakoś nawskroś tragiczna.

Od świtu motłoch sołdacki we dworze mokry, cuchnący i głuchy. Coraz ciaśniej w domu, coraz mniej kluczy w zamkach, coraz mniej drzwi i strychów zamkniętych i w plugawych rękach coraz więcej rzeczy — nie cennych, ale takich, które pokolenia całe utrzymywały w polskiej kulturze z miłością. Przytem jakaś złowroga cisza z fortów i wieści, że tej obdartej piechoty idzie nieprzeliczone mrowie. Zarazem od samego rana wiadomość o kozaku, co plądrując w domu mego krewnego o pół wiorsty od od nas, zabił się, spadając z szklannego dachu w holu; o tym dworze, grabionym brutalnie i doszczętnie;

budzące wstręt nowiny, jak ludzie ze wsi pomagają rabować, jak z godziny na godzinę dom pustoszeje, jak bagnetami kłują portrety, dopytując, który to wizerunek właściciela i wycinają wszystkie materje z mebli.

Koło południa zaczęli wpadać gwałtowniej do naszych pokoi, mówili rzeczy coraz groźniejsze– wydało się nam niepodobieństwem zatrzymać babkę w tym otwartym na wszystkie strony domu. Zjawiło się kilku niby oficerów, biegali na drugie piętro, oglądali dwór, jakby pozycję, mówili coś o kulomiotach na górze... Wszyscy mieli miny ludzi, którzy będą zaraz walczyli, a od nas nie wyruszali. Zdawało się więc, że tu szykują...

Wtedy po krótkiej naradzie z panią Oczką, w ulewny deszcz i przy wznowionej kanonadzie, nawet bardzo silnej, wybiegłam z domu w towarzystwie zacnej Olesi. Szłam się poradzić księdza proboszcza, będącego szczerym i ufnym w Boga optymistą, przytem naszym przyjacielem. Odwiedzał nas choć na chwilę codzień i zawsze był pogodny.

## VI.

Po drodze spotykałam czerń uzbrojoną i konne patrole kozackie. Dzień był ponury, oni przemoczeni i straszni. Za każdym razem, gdy wychodziłam z domu, przez ten miesiąc, mówiłam sobie, że może już nie wrócę, i wychodziłam tylko w ważnych sprawach.

Na bolszewików, spotykanych, patrzyłam z pozorami spokoju, prosto w oczy, by nie myśleli, że się boję, by nie zatrzymali, nie pytali skąd i po co? Mijali.

Ksiądz proboszcz powiedział, to co i sama przypuszczałam. Przyjmie w każdej chwili najchętniej do siebie moją babkę, ale jak z domu wyjdziemy, to już nie będzie do czego wracać, a o tem, by moją babkę zostawić na plebanji bez nas, niema mowy, bo możemy być odcięte i onaby nie miała spokoju. Zresztą ulewa i odległość, bez koni, czyniła projekt przeniesienia mojej babki prawie niemożliwym.

Śliczny sad, pełen ciszy, gęsto zadrzewiony, który widziałam po raz ostatni dawno, bo gdy kwitły

różane jabłonie i który wówczas, pamiętam, zrobił na mnie wrażenie jakiejś religijnej w swem pięknie oazy, teraz już był, choć pusty, pełen śladów zniszczenia. Ale wzrok kapłana, jak wtedy na wiosnę, tak i teraz w straszliwe żniwa, wyrażał cichą radość Bożą. Ufał i ani na chwilę tej ufności nie tracił.

Wracając do domu, zaszłam jeszcze do jednego oficjalisty, który, wiedziałam, że jako stary sługa, jest przywiązany do mej babki. Mieszkał tuż przy dworze—pomyślałam i wydała mi się ta myśl dobra, żeby moja babka kilka dni najbliższych tam spędziła, wobec zwiększającej się niepewności istnienia we dworze. Wchodzilam do niego z ufnością. Ale mnie przyjął blady i zmieniony, powiedział też sucho:

— Czy pani chce mnie i siebie zgubić?

Uważał za oczywiste niebezpieczeństwo dla siebie pobyt mojej babki, choćby na kilka godzin u niego. Nie nalegałam oczywiście — wracałam do domu wolno.

Spotkałam jeszcze jedną żonę gospodarza ze wsi. Przywitała mnie ze łzami i powiedziała, że u niej zawsze jest dla nas miejsce, że całem sercem prosi i pewna, że nam się nic u niej nie stanie. Uśmiechała się ze spokojem -- była z tem taka ładna! O! jak szpetną rzeczą jest tchórzostwo -- ciągleśmy to konstatowały z Oczką w ostatnich dniach.

W domu już była zmiana. Kilku oficerów zainstalowało się na górze, tuż przy naszych pokojach. Mieli maszynę do pisania, właśnie terkotała, było to coś w rodzaju sztabu. Do licha!... Jak sztab, to chyba nie bitwa we dworze, ani kulomioty na górze!.. Już była inna sytuacja. Ale, że armaty z fortów bardzo biły i w tym domu wielkim, naoścież pootwieranym drżały szyby, jak pierwszego wieczora — więc czułam, że nic niema pewnego.

Na górze przy schodach stał oficer i o coś Oczkę pytał.

Na mój widok rzekł:

— A ta?

— Uboga krewna... pracowała tu...

— Patrzcie! — rzekł złośliwie — to takie pany kazały krewnej pracować!

Ja ich mijałam bez słowa, a on zapytał:

— Co? boisz się?

— Nie, wcale się nie boję — i spojrzałam mu prosto w oczy.

— Jak ci na imię?

Nie byłam w stanie powiedzieć swego prawdziwego imienia.

— Nela — bąknęłam z niepokojem.

I czem prędzej odeszłam.

— Aaa! ładne imię — rzekł wolno z tą przerażającą rzewnością moskiewską w głosie, która jest na skraju okrucieństwa.

— Nela — powtórzył bolszewik.

Więc żeby nie myślał czasem, że się go boję, zawróciłam jeszcze i z twarzą surową zapytałam:

— Proszę mi powiedzieć, czy tu będą kulomioty na górze ustawione, czy nie? Czy w tym domu można zostać? bo mamy staruszkę...

— Żadnych kulomiotów, a i poco? Łomża już nasza.

— Wzięta!? — tym razem głos mój napewno był wzruszony.

— Jutro w południe.

— A te armaty?..

— Ot! armaty! a tak, i Łomża jutro nasza.

Chciałam jeszcze z żałością straszną zapytać o tanki, ale się w porę powstrzymałam.

Tym razem, jak i wiele razy potem, uderzające było to, z jaką siłą przekonania ci ludzie kłamali, lub jak ich zwierzchnicy oszukują. Wielokrotnie mówili nam rzeczy niesłychane, tonem takiej prawdy i szczerości, że człowiek, nieprzywykły do oszukiwania, mimowoli w części wierzył. Tak było w okrutny dzień, gdy mi komisarz Rengielewicz, jakby zawahawszy się, czy zdradzić tajemnicę wojskową, na zapytanie moje, gdzie się biją, rzekł:

— Gdzie się biją? — pomilczał chwilę, jakby niepewny, czy mu wolno powiedzieć — i dodał z siłą:

— Na Pradze!

W ten sposób było liczne razy. Ci ludzie umieją kłamać.

Tego dnia było jednak jakieś tempo w domu szczególne, prawda, że masa była złodziejskich nowin. Dwie krowy, które zdołał przysłać ekonom na nasz użytek i które podawały służące za swoje — trzeba było przepędzać z miejsca na miejsce; chcieli je brać, rozlegały się o to krzyki, widziałam przez okno w rzęsistą ulewę przemoczoną, szarą, w płachcie postać ładnej Marysi, jak biegała z łańcuchem, pełna jakieś żywiołowej siły w obronie tych krów. Ale już dwa razy wpadła do nąs ze łzami, bała się i mówiła, że chyba nie da rady. Sześćdziesiąt świń z gospodarskiego podwórza rozpędzili, rżnęli, brali. Ja miałam tuż przy stajni cugowej małą chlewnię zarodową, świeżo założoną. Czekałam, oczywiście lada chwila na przeraźliwy kwik z tej strony. Było to bardzo blisko i wciąż z każdego okna słychać było i widać dobijanie się bolszewików do piwnic, stajen, wozowni.

Wiadomości o szkodach rozchodziły się szybko: biorą ostatnią parę koni... biorą ostatniego konia... uprząż... bryczkę... zdzierają skórę z powozów... Wszystko znosiłybyśmy lekko wobec wczorajszych nowin Janka.

Ale to było obrzydliwe. Oczka odpędzała ich z jednego miejsca, by za chwilę tych samych zobaczyć w drugiem.

— Nie — powiedziała w pewnej chwili, gdyśmy się spotkały w ciągłej bieganinie po domu — to straszne, jeśli tak długo potrwa...

— Nie potrwa, moja droga pani.

— Ja się tylko boję głodu dla babci.

— Ja się bałam raczej kulomiotów na górze; ale ten powiada, że niema mowy. Ach! ale wie pani, że on mówi o Łomży...

— Co, bój się Boga?

— Że jutro wezmą!

— Akurat! Wiesz — mówiła Oczka z odcieniem humoru, który wynikał z żywego temperamentu — że mnie taka pasja bierze, jak widzę w ich łapach nasze rzeczy, że zupełnie zapominam o strachu i wyrywam, choć mi grożą bagnetami.

— Rozumiem — to jest też walka o kawałek Polski! Ale zauważyła pani, że w naszej obecności trochę się krępują?

— Tak, ale nie możemy być wszędzie naraz! — powiedziała pani Oczka tonem niepocieszonym.

— Podobno u stryja rozbijają meble i rabują wszystko.

— Gorzej, bo się dobrali do wódki.

— Zostawili wódkę?! — to okropne.

— Tańczą na fortepianach i bagnetami kłują portrety. Szaleją.

Nie odpowiedziałam słowa, tylko pomyślałam, że muszę stamtąd uratować jeden drogi portret.

Narzuciłam znów chustkę i wyszłam przed dom, trochę bezradnie. Prosić o przyniesienie tego portretu nie było kogo, iść samej do pijanej tłuszczy niepodobieństwem.

Właśnie szedł, dowiedzieć się o nas jeden z dawnych sług, człowiek odważny. Ucieszyłam się bardzo.

— Chciałabym zobaczyć, czy to prawda, co się tam dzieje, może jest jaki starszy... zwrócić mu uwagę...

— Na nic, jaśnie pani. Hołota tylko i pijana. Serce boli patrzeć.

— Chcę tam iść.

Znów przysługa niezapomniana, że ten człowiek, bez słowa protestu poszedł za mną.

Dom był pełen tłuszczy — kilku stało na fortepianach, śpiewali, tłukli coś, bo był wciąż brzęk szkła — na podłodze książki, papiery, obrazki, bibeloty. Powietrze cuchnące, wszystkie drzwi otwarte, a jednocześnie przez wielkie okna widok ogrodu w ciszy, w jaskrawej zieloności i w niepokalanej urodzie.

Dziwnie, napozór, że ci barbarzyńcy nie tratowali klombów. Ale to tylko, bo oczy ich nie widziały nawet tego piękna, dlatego go nie niszczyli. A podwórze gospodarskie i cugowe stajnie były tak wygodne i duże, że nie potrzebowali, ani razu przez miesiąc, rozkładać taborów w ogrodach.

## VII.

Weszliśmy wolno przez szeroko otwarte drzwi ganku, na którym mokły kwiaty świeże z wazonów, fotografje, lampy elektryczne i mnóstwo drobiazgów. Wszystko było sponiewierane, brudne, trzymane przez wiele rąk z gorączkową chciwością, a potem rzucane. Natknęłam się na dwie piękne stare książki i odruchowo podniosłam. Nic do mnie nie przemawia boleśniej, w takich dworach, dokniętych dzikim najazdem, od książek, a szczególnie od dobrych, polskich książek. W nich jest suma trwała wysiłku i piękna, największy z barbarzyństwem stanowiąca kontrast; one powinny ginąć ostatnie.

Gabinet z portretem, o który mi chodziło znajdował się zaraz naprawo i był prawie pusty — ale w drzwiach otwartych pokoi pełno było bolszewików i od tego, za kogo nas wezmą zależało wszystko.

Weszłam zaraz do gabinetu pewnym, ale nie śpiesznym krokiem. Biurko rozbite, kasa w murze wyłamana, szkielety mebli bez obicia, na ziemi pa-

piery i dokumenty, potłuczone przedmioty, a na ścianie jeszcze nie ruszony duży portret w owalnej, złotej ramie—piękny i od dzieciństwa kochany.

Kilku sołdatów zbliżyło się na nasz widok. Tylko jakaś wielka sugestja mogła pomóc. Dom przez nich zajęty, był własnością w ich pojęciu armji—z czem przychodziliśmy i skąd? Nadto, szłam zabrać najwidoczniejszą rzecz w tym pokoju. Jakiem prawem?

Zdecydowane ruchy, jakaś stanowczość, która się nie boi, są dla tych ludzi czemś niesamowitem. Sprawdziłam to niejednokrotnie. Pomyślałam, że nie należy zwlekać i głosem najobojętniejszym powiedziałam głośno:

— Smakowski, proszę zdjąć ten portret.

I zabiło mi serce, czy też on mnie usłucha.

Ale odważny człowiek nawet nie spojrzał na gromadzących się liczniej Moskali i zdjął ciężki obraz ze ściany.

— Czyje to? — zapytał jeden groźnym głosem -- jakby nie umiejąc inaczej zdefinjować swej pretensji.

— Moje — odpowiedziałam twardo, idąc ku drzwiom.

Przedemną szedł człowiek z obrazem. Niósł go z wysiłkiem, bo był duży i ciężki. Myślałam, czy też go obalą i portret wydrą. Każdy krok naprzód był jakby niesłychaną zdobyczą. Ale za mną wszczął

się gwar pijackich głosów, więc obróciłam się niby z ciekawością.

Wytrzymałam, nie odwracając oczu wzrok kilkunastu opryszków, ale zrozumiałam, że będzie wielką rzeczą, jeśli dojdę szczęśliwie do domu.

Po drodze zatrzymał nas jakiś konny bolszewik, więc, że wyglądaliśmy niepospolicie z tym starym portretem na zadeszczonej drodze — znów odczułam grozę położenia.

Ale on zapytał z komiczną w głosie kurtuazją:

— Barysznia, ili madame, proszę mnie objaśnić, jak jechać do Siemienia?

Objaśniłam, że przez most na Łomżę, z złośliwą satysfakcją, bo to było pole walki, ale mnie zaniepokoił fakt, że mógł wogóle się kierować do wsi po tamtej stronie Narwi, to jest będącej w naszem ręku.

Już w ogrodzie, gdyśmy mieli dom przed oczyma, spostrzegłam idącego w naszą stronę starszego kozaka, postać nawskroś dziką, z nahają grubą w ręku i włosami kędzierzawemi, w nieładzie wokoło głowy. Nie widziałam go przedtem.

— Uf! — mruknęłam.

I szliśmy ku niemu wolno.

Zatrzymał nas.

— Co to takiego? — zapytał raczej z ciekawością.

— To jest moja własność, wzięłam z domu ograbionego.

— Stamtąd, gdzie nam zabili kozaka? — rzekł żywo.

— Stamtąd, gdzie nikogo nie zabili, tylko sam się zabił kozak, spadając z szklannego dachu.

— No, kozak się zabił, ale i pan wasz nie wróci, ładnie go urządzili! — rzekł ze złym uśmiechem.

— To kozaka nie wskrzesi — tonem objektywnej filozofji odezwał się dzielny mój towarzysz.

Ruszyliśmy już bez przeszkód do domu.

Babka moja z radością witała ocalony portret i powiesiliśmy go w salonie, choć było to nieprzezornie.

Oczka mnie zaraz objaśniła, że zjechał sztab kozacki. Ten, którego spotkałam, to był komendant i wybrał sobie moje pokoje za mieszkanie. Bardzo mu się podobały!... Wówczas sobie przypomniałam o istnieniu moich rzeczy i chciałam trochę uratować: pokoje były już brudne i zmienione do niepoznania, zapchane żołdacką gawiedzią, godną asystą komendanta. Wybrałam kilka książek miłych, parę sukien i wyszłam z obrzydzeniem. Na szczęście komendanta nie było.

Ale ruch wojsk ogromnie się wzmagał. Już grupy starszych mieszkały na obu skrzydłach domu; żołdactwo przebiegało z hałasem wzdłuż i wszerz; zakładali telefon w pokojach — zachowywali się jak we własnym, na długo swoim domu.

Jakieś złe przeczucie tknęło mnie pierwszy raz od chwili ich wejścia, że to się na tem nie skończy, że pójdą dalej.

Noc była ciężka, pełna głosów moskiewskich, panoszących się w naszym domu. Na dworze wicher, pojedyncze wciąż wystrzały wokoło i ciemność nieprzenikniona. Na fortach cisza.

Następnego dnia, pierwszego sierpnia, zjechał do dworu liczny sztab 53 dywizji bolszewickiej. Zarazem był to pierwszy dzień pogodny. W słońcu jeszcze straszniej wyglądały tabory z obdartem żołdactwem, rozłożone tuż za dworem, przy stajni cugowej. Zrobiło się od tego mrowia gęsto. Nie można się było ruszyć nigdzie, by ich nie spotkać. Przed gankiem letniego mieszkania stała straż — wielkie czerwone kokardy i kryminalne fizjognomje, a wewnątrz była najdziwniejsza rzecz.

Tam obrał sobie kwaterę sztab, złożony z kilkunastu inteligentnych, wybornie ubranych młodzieńców. Twarze ich, ubiór wskazywały niedwuznacznie ludzi wyższej sfery, i to była najwstrętniejsza rzecz, jaką przez cały czas inwazji widziałam. Książę Golicyn, synowie archirejów, szlachta—idąca bez honoru, z jawnego tchórzostwa na łupiestwo do Polski i grająca w karty, pijąca przednie wina, jak za najlepszych carskich czasów — w służbie bolszewickiej.

Było ich kilkunastu, przez okno widziałam ich spacerujących po ogrodzie ciągle, ale z żadnym z nich

słowa nie zamieniłam przez dziesięć dni, póki byli we dworze. Natomiast z dywizyjnym komisarzem, niby zawieszonym w swych czynnościach agenta politycznego za jakieś przestępstwo, pełniącym jednak funkcje urzędowe i mieszkającym w stołowym na górze, naprzeciw naszych pokoi — poznałam się w szczególnych okolicznościach, i był to jedyny Moskal, z którym rozmawiałam parę razy po kilkanaście minut. Ten uczciwy obłąkaniec nazywał się Rjazik, z dumą wyznawał, że jest synem nieprawym praczki i wierzył święcie, że tak jak pobili Kołczaka i Denikina, zdobędą Warszawę, Londyn i Paryż.

## VIII.

Z fortów już od dłuższego czasu nie biły armaty, tylko słyszeliśmy w różnych stronach na łące i przy moście karabiny maszynowe. Ale dni się zrobiły znów cudne, na dolinie złote, po wzgórzach różane; w dali fiolety lasów zanarwiańskich nęciły w polski świat, tam gdzieś daleko — i było coraz ciężej.

Stałam przed domem chwilę, wracając z obejścia ogrodu. Wokoło czerń: na trawnikach leży i coś żuje nieustannie, przy budynkach chodzi i szuka. Grzeszne, obdarte i panujące! Gdzieniegdzie elegancka sylweta oficera, który salonowym krokiem wychodzi do parku i radby pogaworzyć. Śledzą go oczy polskie z bezmierną pogardą.

Patrzę zdumiona, że się ci ludzie przechadzają w butach wybornych i skórzanych kurtach obok tego bosego mrowia, które jest głodne i prześwieca mu nagie, przez łachmany ciało!

Nagle wybiegł z domu komendant kozacki. Coś z oficerami szeptał i poszedł szybko. Miałam wra-

żenie jakiejś nowiny wojskowej i przeszedł mnie dreszcz. O niecałe trzy wiorsty były wciąż ataki na bagnety — na tych bujnych łąkach lała się krew polska. Nie opuszczała mnie ta wizja.

Wróciłam do domu. Pani Oczka znała już od paru dni komisarza Rjazika i mówiła mi, że ją uprzedzał, byśmy mu wyznały, jeśli mamy co cennego w ukryciu, to postawi straż, żeby nie rozgromili. Nie miałyśmy nic takiego i nie czułyśmy potrzeby proszenia go o pomoc, choć był to rzeczywiście tkwiący w strasznym błędzie człowiek ludzki.

Teraz do pokoju mojej babki, gdzie siedziałam z nią, rozmawiając o wszystkiem, byle nie o grozie obecnej, weszła Oczka i momentalnie spojrzawszy na nią, zrozumiałam, że jest coś nowego.

Wywołała mnie, bośmy oczywiście starały się nigdy przy mojej babce nie udzielać sobie złych wieści i powiedziała z tą twarzą zacną, która wiedziałam, że się mieni tylko na niebezpieczeństwo babki, nigdy na swoje:

— Moja droga, już!...

— Co, Oczku?...

— Włamali się do piwnicy i piją miód — już są pijani.

— Jezu Nazareński! Tego to się boję! — zawołałam i biegłam do komisarza.

Oczka za mną.

Wpadłam do niego i mówiłam z gniewem:

— Niech pan zaraz postawi straż przy piwnicy, rozbili drzwi... to są bardzo mocne miody... zresztą kto wie... były w Wilnie za Niemców... może zatrute... mogą być straszne rzeczy!

Mówiłam zupełnie szczerze.

Młody komisarz o twarzy mocnej, która wyrażała wolę, o krępej, silnej postaci patrzył na mnie jakby z zaciekawieniem, nie pojmując mego podniecenia, ale uprzejmie.

— Sama pani sobie winna — rzekł — prosiłem, by mię uprzedzić... byłbym postawił straż...

— A czy ja mogłam wiedzieć, że jak panu powiem, to pan sam sobie nie każe otworzyć i nie upije się! — powiedziałam z furją.

— No! no! ale czego pani się tak przejmuje?

— Czego ja się przejmuję! Czy pan nie wie, co to jest pijany żołnierz?!

Zaraz poszedł, ale wrócił po chwili z jedną butelką w ręku mówiąc:

— Zapóźno, uratowałem już tylko tę butelkę — muszę i ja spróbować.

I najspokojniej się uśmiechał.

— To jest moja butelka — ostatnia z wielu — rzekłam i wyciągnęłam po nią rękę.

Potrząsnął głową, jakby zdziwiony, ale oddał.

Odeszłyśmy z Oczką i zaczęły się zastanawiać, co teraz w tym domu, pełnym pijanych sołdatów, dziać się będzie.

Około północy na korytarzu pojawił się komisarz, widać też bezsenny wobec możności nowin... Poprosił panią Oczkę i powiedział:

— Proszę być spokojną. Nie takie znów miody!... Żołnierze śpią spokojnie! I śmiał się.

Odetchnęłam — bo wypili miody kilka godzin temu, więc już nazajutrz szlachetny polski trunek wyszumi w tych głowach dzikich. Miód nasz, w przeciwieństwie do wódki, dał im sen, nie łupieżce plany. Rzadko też kiedy panowała większa cisza, jak tej właśnie nocy! Ja jednak spać nie mogłam długo. Historja tych butelek była, jak dzieje dworu polskiego w ostatnich sześciu latach. Najpierw w wielkiej, na wzgórzu piwnicy. o czarownej w głębiach pleśni, stały gęste, omszałe, przepysznie wonne; wybierała je na uroczystości ręka czuła; potem wpadnięcie kozaków, noc pijacka na tem ślicznem wzgórzu, wywiezienie w pośpiechu części na emigrację, potem powrót zubożały, ale radosny; a potem—a potem najazd i zagłada.

Rano wszędzie leżały puste, kształtne, jeszcze trochę czarną pleśnią omszałe butelki od miodu. U komendanta, co stał w moim pokoju, gdzie mnie wezwano, bo chciał mi zrabować cenną walizę skórzaną — stało na podłodze, wśród okruchów chleba, butelek dziewięć!...

Ale właśnie z jego powodu miałam przygodę.

Od wczoraj go nie widziałam, gdy stojąc na ganku, gdzie czekałam na Oczkę, z którą znów szłyśmy na jakiś ważny rekonesans, zobaczyłam go nagle tuż przed sobą. I doznałam tak silnego wrażenia, przeszedł mnie taki dreszcz od stóp do głów, że pierwszy raz chyba zrobiłam rzecz zupełnie nieopanowaną.

Oto komendant szedł triumfującym krokiem, a mrugnąwszy ohydnie do stojącej na bocznym ganku gromady oficerów, wskazał na broń u boku.

Wzrok mój momentalnie poszedł za jego znakiem i przeszyło mnie uczucie, nieznane dotąd jakiejś lodowatej w piersiach boleści. U boku tego kozaka zamiast krzywego miecza błyszczała śliczna, wzruszająca bez granic od pierwszego, błyskawicznego rzutu oka na nią — szabla ułańska z Polaka.

Moskal wracał z łąk i zaraz zobaczyłam przed oczyma, jak tamten — nasz ułan — padał we krwi, a ten kozak wchodził plugawy i zwycięski do polskiego dworu.

Nieopanowanie, nagle zakryłam ręką oczy, powiedziawszy głośno:

— Jezus! Marja!

Weszłam do domu.

Ale rzecz dziwna, ugięły się podemną tak kolana — że musiałam zaraz w sieni usiąść.

Za mną wbiegł Rjazik, który to widocznie widział.

— Co się pani stało? P o m i ł u j t i e! No! pani strasznie zmieniona!...

I objaśnił z prymitywnem przejęciem paru oficerów:

— W y z n a j e t i e, ona zobaczyła komendanta s z a s z k ę i tak: rękę do głowy, oczy pełne łez, twarz blada i weszła do domu... no, s o w s i e m n i e p o n i m a j u!... Co pani się stało?!

Wstałam już zupełnie spokojnie i powiedziawszy:

Nic mi się nie stało! — poszłam na górę.

Ale ta smutna szabla dała początek oryginalnej propagandzie, która nazajutrz rano miała miejsce w pokoju zajmowanym przez komisarza Rjazika.

Biblioteka domowa
Nr
Mieczysława Kasprzaka

## IX.

Rano słyszę w korytarzu tuż przy naszych drzwiach taką rozmowę. Oczka przemawia chłodno, objaśniająco, komisarz uprzejmie, tonem szczerym, zaciekawiony.

— Czy pani nie wie, co jej się wczoraj stało, jak zobaczyła komendanta?

— Nie wiem.

— No! to ja pani powiem! tu był jakiś oficer polski!

— O! nie jeden nawet.

— Nu! wot! i ona jego szablę zobaczyła—a ona tamtego kochała!.. Oo!..

— Ani jej się śniło, zresztą tu był kuzyn tylko—mówi Oczka, nie wiem czemu.

— Nu, wot, wot. Kuzyn!.. A jej oczy pełne łez w jednej chwili, ręka do głowy i blada...

Tu znów w głosie i w ruchach ma precyzję w odtwarzaniu tego, co widział, jakąś poczciwą precyzję barbarzyńcy, co formę bierze za treść.

— Wzruszyła ją polska szabla -powiada Oczka z powagą.

— Polska! Polska! ją wzruszyła jego szabla— to już nigdy w życiu nie uwierzę, by co innego!...

Po chwili jakby w zamyśleuiu:

— Nu, u niej prelestnaja dusza, ale jakby nie bądź burżujka—dodał z odrazą.

Ja wyszłam z pokoju i powiedziałam:

— Oczku, teraz jest czas mu coś powiedzieć.

Poczem łamaną ruszczyzną powiedziałam mu tak:

— Niech pan sobie wyobrazi...

— Tylko nie „pan“ — przerwał — to jest zupełnie, jak gdyby mi pani wymierzyła policzek!—Jestem towarzysz...

— Dla mnie nie. Jest pan cudzoziemcem i wrogiem — ale chciałam panu powiedzieć, bo dobrze jest, żeby pan wiedział, że wczoraj nie mogłam opanować wrażenia, bo zobaczyłam polską, naszą szablę zdobytą przez kozaka... I wyobraziłam sobie, że nasz padł... ale nigdy nie widziałam właściciela tej szabli, tylko jest polska, to poznałam natychmiast i dlatego się wzruszyłam.

— Ona jest bardzo patrjotyczna — wtrąciła objaśniająco Oczka takim tonem, jakby mówiła: „ona lubi pomidory“, ale jemu i to nie pomogło, potrząsał głową i nie wierzył.

— Poco ukrywacie... nic złego! Kochała go! Jewo szaszka!

— Widzi pan, to jest rzecz, która was w naszym kraju czeka. Spotykacie się z uczuciem, którego zupełnie nie możecie pojąć, nic sobie z niego nie robicie, a ono was napewno...

Chciałam dodać „pobije", ale trzeba było nie przeciągać struny, by móc trochę natchnąć komisarza świadomością, że w Polsce jest jakaś siła duchowa, ważniejsza od walki klasowej i znacznie od tej walki głębsza.

— To uczucie nazywa się patrjotyzm!—dobitnie wycedziła Oczka, uprzejmie i wciąż w charakterze faktycznego objaśnienia.

Zaczęła się ożywiona względnie rozmowa tak śmieszna, jak rozmowa na migi między murzynem a białym i tak tragiczna, jak bywa obłęd i bezgraniczne zaślepienie.

By ją postawić odrazu na właściwym planie, poprosiłam Oczki:

— Niech pani komisarza zapyta, czy on rozumie znaczenie słowa inwazja, i powie mu, że dla nas wszystkich jacykolwiekby tu przyszli komuniści z idei, czy prości łupieżcy tylko — to jest inwazja gwałt, zbrodnia.

— Kakaja eto inwazja, pomiłujtie! — rzekł z dobrodusznem oburzeniem—ziemia należy do ludzkości, do wszystkich, my przychodzimy dla wyzwolenia ludu. No kakaja eto inwazja, eto sowsiem bezumno!

— Co on plecie! — mówimy sobie głośno.

— Niech pani jej przetłumaczy z koleji—zwrócił się do Oczki z uniesieniem—że jeśli chce zaznać szczęścia rozkoszy bezgranicznej, to musi zostać internacjonalistką, że dopiero wtedy zrozumie, co to jest życie. My zwyciężamy od trzech lat nieustannie, bo racja jest po naszej stronie. Pobiliśmy Kołczaka, Denikina, pobijemy Wrangla, w Indjach wznieciliśmy powstanie i w Persji, Egipt dzięki nam już nigdy nie będzie angielski i pójdziemy wszędzie, gdzie trzeba, i wszędzie zwyciężymy, bo z nami jest prawda. Zdobędziemy Warszawę, Paryż, Londyn—nie dla nas, ale dla idei, dla ludu.

— Po drodze jest Łomża — wtrąciłam nie bez satysfakcji, bo opór trwał dzień piąty.

— Jutro będziemy w Łomży i pójdziemy dalej. A wy co? myśleliście, że taka swołocz, dzicz, zwierzęta nie dojdą tu nigdy — a my idziemy bez oporu.

— Łomża—syknęłam.—Cóż to znaczy! jutro nasza! A ta wojna inwazyjna, jak pani mówi, to się stała u nas świętą — powiedział z szalonem uniesieniem—niech pani spojrzy: tam, na dole ma pani wysoko urodzonych synów archirejów, szlachtę pałacową, wszystko z nami, za Kijów, za Borysław — my już nie bolszewiki — my wielikaja Rosija, rozumiecie?

— Ach! więc za Kijów, czy za internacjonalną ideę? — przerwałam, widząc, jak tu się miesza pasja narodowa do sztucznych idej komunizmu.

Uśmiechnął się.

— Walczymy o lud i za niego, a pomścimy za Kijów... o-o-o! — zgrzytnął zębami — jak pomścimy!... Kto wam kazał tam iść? „Inwazja“!...—mówił przekomarzająco — no, w Warszawie lud roboczy pokaże, nim my wejdziemy, kto zaczął inwazję.— I trzy dni, tylko trzy dni, ale pogulajem!

— Jezus! Marja! — zawołała Oczka tonem, który gdyby rozmawiała z człowiekiem złej woli, byłby może zdecydował o jej życiu.

Ja słuchałam blada, bo ten bolszewik przemawiał z oczyma pełnemi najgłębszego fanatyzmu i było w tem więcej siły zła, niż gdyby przemawiał z krwiożerczą złością.

Fanatyzm ukazuje człowiekowi jego namiętne pasje zawsze w aureoli i na płaszczyznie znacznie wyższej od rzeczywistości. Siła jest w tem, bo mało co takim jest bodźcem do działania, jak poczucie, choćby urojone, własnej wyższości. Fanatyzm bolszewicki polega na tem, że odwieczną żądzę pomsty klasowej i plemiennej (u żydów) ubiera w aureolę haseł pozornie demokratycznych. Mówię o tem, bo, pisząc dla ludzi oświeconych i nosząc nazwisko, które samo przez się określa mój stosunek do bolszewizmu, nie chcę taić cechy wroga, będącej przez miesiąc okupacji jedną z najjaskrawszych rzeczy — z jaką się wśród komisarzy bolszewickich, zarówno

Polaków, jak Moskali, spotykałam. Dzikość, prymitywizm, okrucieństwo — to były rzeczy znane i jasne. Nie wierzyłam natomiat w bolszewicki, szczery fanatyzm. Istnieje on, jest potężny, i uważam, że liczyć się z nim należy, jako z jedną bronią więcej w arsenale wroga.

## X.

Mówił prawdę Rjazik. Nazajutrz Łomża była już w ich ręku. Chodziłam, jak błędna: oni pójdą dalej! Zaraz też zatoczono armaty na pola drozdowskie, ukryto je za stertami bogatych zbóż, na wzgórzu za dworem i zaczęto strzelać na tamtą stronę.

Oh! te armaty moskiewskie na naszych polach, broniące przeprawy przez most, który budowali na łąkach — co to była za męczarnia! Miałam uczucie rozstępującej się podemną ziemi, jakiejś otchłani, w którą lecę, jakiegoś bólu, uwitego z czarnych sideł, w którym był i wstyd palący, że z naszych pól w moich oczach idą mordercze pociski ku polskiemu wojsku i fizyczne odczucie mąk, jakie te kule ogniste zadadzą i wiele innych wrażeń zupełnie obłędnych, w swej drapieżnej sile.

Z ganku, jak na dłoni, widać było armaty i ogień przy wylocie z lufy. Pierwszy raz widziałam to z tak bliska. Pocisk szedł szmaragdową doliną z sy-

kiem, od którego się wzdrygałam i zapadał w lasy czerwonoborskie, by nasycić ich górny fiolet plamami krwi amarantowej w nizinie.

Oficerowie ze sztabu wybiegali z mieszkania i patrzyli, zacierając ręce. Robili też fachowej treści uwagi, od których serce mi zamierało.

— A! to głupi ci Polacy! toż gdyby osadzili pozycję na pół wzgórza przeciw, toby nas wszystkich, jak tu jesteśmy, zmietli.

— No, zupełnie, tam pozycja jak wymarzona, ale wtedy z temi paniami — tu wskazał na nas, stojące na drugim ganku — byłoby gorzej.

Mnie zaś paliło pragnienie, by było z nami źle i jak najgorzej, byle się odezwały z naszej strony armaty, walące w pola drozdowskie!

Ale była cisza i przez dwa dni i dwie noce spokojnie przeprawiały się wojska bolszewickie przez most, zbudowany na naszych łąkach, i przez oba mosty łomżyńskie. Ta cisza odbierała nam siły, jako najcięższy zwiastun.

Powoli nadeszły wiadomości niepocieszające, ale przynajmniej takie, które nie raniły naszej dumy narodowej: opór w Łomży, trwający sześć dni, był bohaterski, kosztował bolszewików ogromne straty, ludność zachowała się ofiarnie, biorąc udział w walkach, pomagając wojsku.

Ale oni szli naprzód. Myśmy wychodziły na wzgórze, skąd widać u stóp rozłożoną dolinę Narwi,

jej czarniawe w słońcu wody, i nie wierzyły oczom Ten most na łąkach budować musieli kilka dni — myśmy nic o tem nie wiedziały — ale chłopi? Od nich brali na to drzewo, w ich oczach budowali. Nikt im nie przeszkodził ani dniem, ani nocą.

Zamiast huku armat, upragnionego dla mnie ponad wszystko, całe pobrzeże zaczęło zaraz nazajutrz po wzięciu Łomży rozbrzmiewać odgłosem złowrogiej młócki.

Oni szli naprzód, a prawy brzeg Narwi, to już były tyły, z których na front i w głąb Rosji zaczął iść polski chleb, plon po znoju pięcioletniej wojny wyrosły i znów przedziwnie, jak sześć lat temu, urodzajny.

Nic jaskrawiej nie wyrażało sytuacji, jak ta spokojnie organizowana młócka na tyłach wojsk, które szły tak daleko, że żadnych odgłosów bitwy nie słyszało się.

Zaraz też dał się poznać sprawny i liczny aparat gospodarczy bolszewików.

Tymczasem z pól, ze stert, z kartofliska—brał, kto chciał, i czuć było na twarzach ludzi jakąś sytość, która wyklucza wszelką myśl o strasznej po najeździe zimie. Pod tym względem wybrali bolszewicy porę do złupienia Polski nietylko najlepszą, ale politycznie najskuteczniejszą. Na przednówku, w zimie taki miesiąc, jak myśmy mieli, wystarczyłby do przekonania każdego anarchizującego nawet fornala,

że przy bolszewizmie czeka go głód, ale teraz w kulminacyjnym momencie wsi, gdy stały pełne sterty i gotowe młockarnie — a dwory puste i bez administracji, wystarczało dla wszystkich: dla bolszewików i dla fornali, i dla wsi pokątnie kradnącej. Straszna to była obfitość; z cudzego i bez sumienia — ale była faktem, który wiele głów odurzył. Ten dziedzic, powracający choćby w pośpiechu, będzie musiał wciąż odganiać od pełnej sterty — symbolu, co rozbudził apetyty nie łatwe do ujarzmienia. Apetyty, które są powolnie nurtującą trucizną.

Pewnego dnia — bardzo jakoś prędko po przejściu rzeki, dano mi znać ze dworu, gdy byłam w fabryce, że przyjechał komisarz i wzywa wszystkich do dworu, oraz chce ze mną się widzieć.

Każda taka wiadomość budziła we mnie jasną świadomość grożących niebezpieczeństw.

Szłam wolno, jak zawsze w takich razach, wiele rzeczy obmyślając. Na ganku stała Oczka z jakimś młodym wojskowym i na mój widok powiedziała:

— Właśnie pan chciał się z tobą widzieć.

Spojrzałam na niego, był bardzo młody i nie miał twarzy rosyjskiej. Przeleciała mi myśl, że to może być Polak i serce mi zabiło. O tem też, jak i o możności wywiezienia mnie wgłąb Rosji, nigdy nie pomyślałam dotąd — a było to wstrząsające wrażenie.

Gdy się zbliżyłam, powiedział po polsku.

— Jestem Rengielewicz i pocałował mnie w rękę.

— Polak! — szepnęłam.

— Kazałem zebrać tu wszystkich ludzi z folwarku i fabryki. Jestem głównym komisarzem aprowizacyjnym, Pani zechce też być obecna.

— Zaraz — powiedziałam i weszłam do domu, by móc chwilę pobyć sama. Uczułam ból fizyczny w sercu i jakieś niepojęte pragnienie ucieczki, by tej polskiej twarzy nie widzieć już więcej.

## XI.

Bardzo szybko zbiegali się ludzie słuchać komisarza bolszewickiego. Ciekawi byli wieści, nowego porządku — tyle rzeczy nęciło myśl w kierunku przewrotnym, tyle pokus czyhało na opuszczonych w bogactwie polach—i czekało tylko na sankcję wroga...

Pod tym względem łaknących spotkał ogromny zawód: przez cały miesiąc rządów bolszewickich władza ich nietylko nie mówiła nawet o rozdawaniu ziemi małorolnym, ale wyraźnie i zarówno urzędownie, jak w rozmowach prywatnych stwierdzała, że wywłaszcza się posiadaczy ziemskich na rzecz państwa.

Gdy weszłam do ogrodu, siedział już komisarz Rengielewicz przy okrągłym stole, przed domem, a wokoło niego stał tłum. Nie wyglądał na człowieka z wykształceniem, ale miał siłę w twarzy. Zobaczywszy mnie, wskazał miejsce przy sobie. Niektórzy ludzie patrzyli na mnie pełni niezdrowej ciekawości, na myśl, co mnie czeka, inni ze współczuciem — ci byli mniej liczni.

Komisarz przedewszystkiem powiedział marną polszczyzną.

— Niech wystąpi przedemną rewolucyjny sowiet drozdowski.

Ludzie, nie bez emocji, wystąpili.

— Proszę mi przedstawić stan majątku, który należał do rodziny F.

Ludzie zaczęli przedstawiać, ale chaotycznie i niejasno. Mieszali oba majątki, stryja mego i nasz, nie znali właściwie stanu rzeczy.

Rengielewicz słuchał z głową pochyloną, nie podnosząc oczu na nikogo.

Raz tylko przerwał, gdy któryś z ludzi, wyszczególniając dobra, powiedział, że coś „należy“ do nas i rzekł spokojnie:

— Należało, ale już nie należy, proszę mówić ściśle.

Widząc, że dowiaduje się z tej mieszanej relacji drobiazgów — a nie całokształtu gospodarczego, jaki Drozdowo przedstawiało, przerwałam po jakimś kwadransie, by powiedzieć suchym tonem:

— Jeśli pan pozwoli, mogę pana w kilku słowach objaśnić co do faktycznego stanu rzeczy.

Spojrzał na mnie i powiedział:

Bardzo proszę.

Dobitnie starałam się wyłożyć, co było do powiedzenia. Były rzeczy trudne, nad któremi już przedtem wiele myślałam. Mówiłam oczywiście prawdę,

Jednocześnie uderzało mnie, że nawet w takiej chwili ta prawda posiadaczy, którą trzeba wyłożyć wobec ludzi ubogich, jest nieporównanie skromniejsza i jakby sprawiedliwsza, niż się napozór wydaje. Przynajmniej w naszym wypadku tak było.

Rengielewicz słuchał z uwagą, ale obojętnie, tylko gdy zaczęłam mówić o fabryce oczy jego wyraźnie zabłysnęły.

— Ile osób było współwłaścicielami fabryki?

— Kilkanaście.

— I wszyscy żyli z niej?—zapytał surowo.

Oczy ludzi wlepione były we mnie.

— Widzi pan—powiedziałam—z tą fabryką jest jak z wielu sprawami kapitalistów:—że pozory mylą. Z tej fabryki żyją od lat kilku tylko ci oto ludzie— i wskazałam na robotników.

Spojrzał na mnie i zobaczył, że mówię prawdę.

— Dziwne!—rzekł.

Ja się uśmiechnęłam.

— Ile takich rzeczy czeka pana u nas!

Potem pytał o warunki parobków i robotników fabrycznych. Jedne i drugie były takie, że nie powiedział słowa protestu, tylko gdy usłyszał, że w ordynarji urzędników było więcej mleka, niż dla parobków rzekł:

— Urzędnik miał więcej mleka? to niesprawiedliwe: skasowane od tej chwili.

I słuchał dalej w milczeniu sprawozdań. Kazał sobie przedłożyć listę pracowników, powiedział kilka uwag treści informacyjnej, poczem wstał i zaczął dłuższą przemowę.

Ludzie pozdejmowali czapki.

Komisarz Rengielewicz mówił znane komunały ze swadą i siłą sugestywną — niezbadana rzecz, czy wierzył w to, co mówił, ale nawet prostym głowom trudno było pogodzić sprzeczności, tkwiące w jego wywodach.

Mówił o szczęściu ludu, a widzieliśmy motłoch obdarty, mówił o wywłaszczeniu na rzecz państwa, a jednocześnie o tem, że dobra kapitalistów wystarczą na zaspokojenie potrzeb każdego, mówił o „ukochanej Polsce„ i o bolszewikach, będących jej sojusznikami, o sybirskich katorgach i o jedynym obowiązującym na dziś rządzie białostockim, działającym w ścisłym sojuszu z wyzwolonym ludem rosyjskim.

Ludzie słuchali zapatrzeni, a gdy mówił o przyszłem szczęściu i o miłej ojczyznie wyzwolonej nareszcie, niektóre baby płakały i niejeden chłop miał łzy w oczach.

Zakończył okrzykiem:

— Niech żyje sowiecki rząd rewolucyjny!

Którego to okrzyku nie podjął jednak ani jeden głos.

Potem, już jakby tylko w prywatnej rozmowie, zapytał o szkołę i ochronę. Mówili, że jest, ale ni-

komu na myśl nawet nie przyszło powiedzieć, że ochrona jest od 23 lat utrzymywana przez dwór.

— Tam dzieci jedzą? — zapytał komisarz.

— Ale! gdzie tam! — mówiła jedna baba przez drugą—ot tak sobie, posiedzą, pobawią się... Ton był taki, że nie podnosił w oczach komisarza ochronki.

Jedna powiedziała z widoczną złośliwością:

— O! tam!.. jak dzieciak bardzo wrzeszczy, to mu może czem usta zatkali...

Spojrzałam na nią ze szczerą odrazą, bo ochrona wychowała kilka pokoleń i była przy jednej kierowniczce oddanej, przez lat 20 napewno wzorową.

— To nie jest ochrona, jeśli dzieciom nie dają jeść — rzekł komisarz.

Ludzie zamilkli.

— Po polsku — powiedziałam — to się nazywa ochrona.

Rengielewicz pierwszy raz popatrzał jakoś baczniej na ludzi, mówiąc:

— A ta staruszka... kto to?—i wskazał na dwór

Uczułam ogromne, bolesne wzruszenie. Musiał wiedzieć, że to jest moja babka, co zatem pytanie mogło znaczyć?

Ludzie też go nie zrozumieli i spoglądali na siebie jakby z niepokojem.

— To jest moja babka— powiedziałam— właścicielka tego domu i ogrodu.

Z ust komisarza padły najbardziej nieprzewidziane słowa, jakie można sobie wyobrazić:

— Czy nie krzywdzicie tej staruszki? Czy nie dzieje się jej od was krzywda?

Milczenie.

Zwrócił się do mnie.

— Czy jej się nie dzieje krzywda?

— Nie — powiedziałam.

Miększą i jakby mniej łamaną polszczyzną dodał:

— Pamiętajcie, że starość należy szanować. Ona już niech dokończy swoich dni tak, jak była... w tym domu... pamiętajcie. Jej nie ruszymy.

Na myśl, że to mówił bolszewik, że przez Łomżę pędzono katowanych księży starców, a ten Polak w grzesznej służbie powiedział głośno, wobec kilkudziesięciu ludzi, podobne słowa — odczułam znów nadprzyrodzoną zaiste opiekę nad tą niepocieszoną Matką.

Nietylko powiedział te słowa, ale rzecz istotnie przedziwna, poczuł się w pełni do ich konsekwencji.

Z kolei, jakby przypomniawszy sobie — mówił:

— A urzędnicy administracji nie krzywdzą was?

— Niema nikogo, wyjechali.

— Z urzędników — powiedziałam jowialnie — to jestem tylko ja i od kilku dni, ale wątpię, żeby mieli na mnie jaką skargę!...

Rzeczywiście, zapisałam się w fabryce, jako buchalterka, żeby być w kontakcie z tem, co się dzieje

i bo mi już dawano trochę do zrozumienia, że bez pracy nie uzyskam dla dworu ordynarji.

Ludzie uśmiechnęli się, ktoś powiedział:

— Nie, żadnej skargi...

A komisarz zapytał?

— Co pani prowadzi?

— Buchalterję—i przeraziłam się sama powagi tego słowa, bo rachunki są mi najbardziej obcą rzeczą na ziemi.

— Pani wykwalifikowana?

— Nie, staram się, jak mogę...

— To ważna rzecz buchalterja takiego majątku,—u nas muszą być składane co miesiąc wszelkie dowody. I spis wszystkich pracowników—ordynarję my będziemy wydawali w Łomży. Wszystko, co jest na miejscu w produktach, obejmuje urząd aprowizacyjny, to jest ja.

Wskazał adres w Łomży, gdzie miał się do niego stawić nazajutrz sowiet miejscowy i ponieważ właśnie mi ktoś z naszych ludzi szepnął, że trzeba mu dać obiad we dworze, więc powiedziałam z wysiłkem:

— Może pan u nas zje objad. Poczem odeszłam, a w kwadrans siedział przy naszym stole.

## XII.

Ponura to była historja tego komisarza Polaka. Przytaczam ją, bo może być pouczająca. Zdaje się, że mówił prawdę — wyglądał na to.

Jadł obiad w towarzystwie znanego agitatora łomżyńskiego, Stolnickiego. Zapytałyśmy go o to, czy będzie pokój—mając wciąż na myśli, że delegaci nasi jeździli do Brześcia, a myśmy nic już dalej o losach pertraktacji nie wiedziały pod okupacją.

— Będzie pokój, ale w Warszawie—powiedział z uśmiechem, który mnie przeraził.

— O! jak pan się brzydko uśmiechnął — powiedziałam tonem spokojnym — my chcemy pokoju szczerze, posyłamy delegatów tam, gdzie wyście naznaczyli, a teraz wy... znowu...

— Myśmy chcieli pokoju w marcu, a Piłsudski poszedł na Kijów... ot w tem wszystko.

— Ale teraz nasza delegacja pokojowa pojechała — i co?

— Teraz już zapóźno, trzeba inaczej...

— Żeby pan wiedział — powiedziałam możliwie w najobjektywniejszy sposób — jakie na nas robi straszne wrażenie, że Polak... przybywa tu... jako przedstawiciel rządu rosyjskiego... słyszałam, co pan ludziom mówił o mojej babce... oceniam... ale jak pan, Boże miłosierny, jak pan...

— Nie skończyłam, bo i jakże, to było skończyć!...

On przerwał zresztą.

— Widzi pani... Ja Polak... mnie całe życie w Rosji przyszło być... tęsknota była... ja jechał do Polski. Mnie na granicy żandarmi wzięli za bolszewika i bili. Rozumie pani? Nie zapomina się.

Przymknęłam oczy, bo jego twarz, całe uniesienie, z jakiem mówił, nosiło ślady sponiewierania istoty ludzkiej, które się mści, i które nigdy, nigdy nie jest usprawiedliwione.

— Tak ja poprzysiągł... i już odtąd stale... a i dobra ludu pragnę... jestem szczerze bolszewik...

— Och! — rzekłam — oni pana bili, to źle, ale pan za to chce bić Polskę... W jakimże to stosunku stoi?

— Nie. U mnie już idea. No, panią obchodzi pokój... on będzie niedługo... ale nie w Brześciu — i znów się uśmiechnął.

— Gdzież się teraz wasze wojska biją? — Zapytałam z zimnem w sercu, bo od szeregu dni panowała cisza niezamącona nad Narwią.

— Gdzie się biją? — powtórzył i milczał chwilę, jakby wahając się, czy wyznać. Potem z siłą:

— Na Pradze!...

Pani Oczka i ja chyba napewno załamałyśmy ręce. Ja dłuższy czas nie byłam w stanie wymówić słowa, potem szepnęłam:

— A... a wyjechać z Warszawy można? — było to śmieszne i bez sensu zapytanie, ale odpowiadało drapieżnemu niepokojowi o najbliższych.

— O! nie!... kordon robotniczy strzeże naokoło Warszawy i nikomu nie da wyjechać.

— Jezus! Marja!...

— A pani co... kogo ma w Warszawie?...

— Mam matkę.

— No, nic... Tam już pojechał Marchlewski, będzie porządek... proszę się nie bać.

— Moje nazwisko... — zaczęłam, ale pomyślałam o babce i zamilkłam.

— Ja wiem — powiedział zaraz.

Pani Oczka szepnęła.

— Dwóch braci w Moskwie...

— Wiem — byłem wtedy w Moskwie... nawet byłem przeciwny... ale ja jeszcze nieznaczny był człowiek.

Zrobiło mi się ciemno w oczach. Zostawiłam ich, a gdy zobaczyłam znów Rengielewicza, powiedziałam mu tak:

— Mówił pan o mojej babce. Ale nas ograbili i nie mamy pieniędzy. Ten ogród jest prywatną własnością mojej babki, niech pan mi zechce dać dokument, że mogę spieniężać z niego produkty na rzecz utrzymania babki.

— Dotąd jak było?

Ze wstydem musiałam powiedzieć:

— Obaj ogrodnicy nie chcą nic sprzedawać, bojąc się, że już nie wolno...

Zobaczyłam w jego oczach ruch myśli inteligentnej i że rozumiał, że nie byle czego żądam.

— Zrobię to, owszem, ona musi żyć. Dochód z ogrodów będzie dla niej, pani wolno administrować. Wydam dokument.

— Umożliwi to egzystencję mej babki tymczasem.

Gotowo. Bardzo proszę.

Znów wyciągnął do mnie rękę i znów ją pocałował.

Chodziłyśmy później — wyjątkowo — wolną chwilą z panią Oczką po ogrodzie. Zapadł zmierzch, nad Narwią zawsze pachnie wonną, z łąk wilgocią i jakieś ma marzycielstwo w bladawych oparach. Ogród był piękny naprzekór losowi i naszym ciężkim smutkom. Pachniały mocno kwiaty.

— Czy to możliwe, by podchodzili do Warszawy? Właściwie nie wierzyłyśmy zupełnie, ale jakieś

straszliwe uczucie oplątało serce. A może tam gdzieś, nad Bugiem, będą stać tygodnie, miesiące — a my tu jak w grobie, bez wieści. A jeśli walki na Pradze... Jak miasto, jak stolica? Nie wiedziałam, gdzie myśl obrócić — wszędzie, jak otchłań, była tajemnica i jakby świadomość zawrotna własnej zagłady.

Ale nie mówiłam o tem, omawiałyśmy bieżące sprawy.

Był to trzynasty sierpnia...

— Oczku, czy mnie wzrok się mąci, czy tu tytoniu już niema?

Była duża, na wzgórzu, bardzo urodzajna plantacja tytoniu.

— Rzeczywiście, jakby same badyle.

Podeszłyśmy. Istotnie, tytoń, nie ręką niewprawną, tylko fachowo był obrany z głównych liści.

— Ciekawa rzecz: kto i dla kogo? — mówiłyśmy z uśmiechem, bo bolszewicy rośliny tej jakoś nie rozróżniali i dotąd nie niszczyli.

— Wczoraj było posiedzenie sowietu! — rzekła znacząco Oczka. — Tytoń bardzo lubią.

— Niepodobna! — zawołałam. — A wie pani, że toby była ironja teraz, jak mam uzyskaną władzę nad ogrodami, żeby mi się nasz komitet z jaką rezolucją pośpieszył!

— No, jeszcze w ręku nie masz pozwolenia!

— Napewno będę miała.

Zbliżył się właśnie ogrodnik. Miał niejasną minę, był to człowiek nowy.

— Tytoń pan obrał?

— Tak, musiałem.

— Ja się na tem nie znam, ale to chyba przedwcześnie? — zapytałam czysto informacyjnym tonem.

— Tak. Cóż robić, kazali.

— Kto kazał?

— W protokóle stoi... Wczoraj wieczorem było posiedzenie sowietu. Zebrać tytoń i rozdzielić, robotnicy rozporządzili.

— To wczoraj? A pan już dzisiaj spełnił. No! to się pan pośpieszył, bo komisasz Rengielewicz uszanował prawo pani dziedziczki do tych dwóch ogrodów i ja niemi administruję.

Ze spojrzenia tego „pośpiesznego“ człowieka zmiarkowałam, że mi nieomal, jak pomylonej, współczuje. Z ostrożnością też, jak do chorej powiedział:

— Tak... doskonale... co?... uszanował... taaak!...

Odeszłyśmy, a ja się śmiałam.

— Wie pani, że on nie uwierzył w to.

No, bo to jest dziwne.

— Tylko muszę jutro zdobyć ten dokument koniecznie.

## XIII.

Atmosfera stawała się coraz cięższa. Jakaś beznadziejność pomimo modlitw żarliwych i jakieś w powietrzu i w piersiach poczucie klęski.

Grabież wsi trwała, konie, krowy, siano, owies i rzecz najdotkliwsza prawie dla ludu: gospodarze tygodniami na podwodach. Zaraz za dworem, na szosie spotykałam, idąc codzień do fabryki, posępne, miłe moim oczom po tylu strasznych fizjognomjach, postaci wieśniaków, trzymanych tygodniami na podwodach, nieraz z bardzo odległych stron Litwy i Rusi. Jeść im nie dawano, kradli też, co mogli, dla siebie i dla swych zabiedzonych koni, w czem nie było nic dziwnego i o co prawie że nie mieliśmy do nich pretensji. Czasem, wśród otaczających nas gęsto Moskali, z takim bratem upośledzonym zamieniało się urywane słowa. Ale najwięcej mówiły oczy — patrzyliśmy na siebie i tyle się z tych jasnych, zasępionych twarzy widziało szczerej, dobrej prawdy polskiej. Ale bolszewicy wrogo ich pilnowali i nie

często mogłam z nimi mówić, by ich nie narazić. A pokusa była ogromna, bo stanowili jedyną pocztę ustną ci ludzie. Jechali z armją moskiewską duży szmat kraju, wiele widzieli i mogli sądzić. Nieraz znów byli to powracający z samego frontu, zwolnieni gospodarze. Ci często szerzyli wieści, że tego wojska moskiewskiego jest nieprzeliczone mrowie i że już się rozlało po całej Polsce. Przeczyłam z siłą, z przejęciem, ale w samotności i nocami płakałam.

Chciałam się dostać choć do Łomży, by cośkolwiek prawdziwego się dowiedzieć, ale było to niepodobieństwem. Sztab stojący wciąż we dworze i obozy wokoło na dziedzińcu, rwetes, ciżba, rabunek pokątny i jawny — kuchnia przepełniona żołdactwem, z kucharzem sztabu, marnym Polakiem — wszystko sprawiało, że wyruszać w drogę, z której mogło nie być powrotu, nie był teraz czas.

Naprzeciw naszych pokoi mieszkał wciąż komisarz Rjazik i terkotała maszyna. Co chwila wpadali sołdaci ze sztafetami, coś się wciąż działo w dziedzinie propagandy komunistycznej i wojny—a myśmy nic nie wiedziały.

Po rozmowie, wywołanej widokiem szabli, nie widziałam kilka dni Rjazika, gdy spotkał mnie w korytarzu.

– O! — rzekł z uśmiechem — za co wy nas macie!... toż żyje pani jak w trumnie, cały dzień

w tym pokoju, ciągle się na klucz zamykacie i nie widać was wcale.

— Bardzo się pan myli, bo ciągle chodzę asystować jakiemuś rabunkowi i dużo się ruszam.

— Wstyd prawdziwie, wy nas za ludzi nie macie, sypiam tyle dni na kanapie i nawet poduszki nie mam! A tej starej pomieszczycy, to nawet na oczy nie widziałem, pokażcież ją kiedy, toż człowiek ciekaw popatrzeć...

Po naradzie z Oczką, postanowiłyśmy, nie żeby zaspokoić ciekawość komisarza, ale korzystając z ochrony, jaką niejako słowa jego dawały, namówić moją babkę, po tylu dniach uwięzienia, do przejścia się po ogrodzie.

Tego dnia rano doszła nas wiadomość o tragicznem wywiezieniu jedynego prawie pozostałego na prawym brzegu Narwi ziemianina i o rozstrzelaniu drugiego. Były to jedyne nazwiska znanych nam ludzi, co zostali. Wokoło zaś, bliżej puste i grabione dwory.

Dziwny to był spacer. Odbył się w tej porze, co zwykle, od sześciu miesięcy z moją babką: przed zmierzchem, po podwieczorku. Szła wolniutko, my po jej obu stronach. Na ganku otarła się o żołdactwo, stanowiące straż sztabu. W ogrodzie ciągle wysuwała się z zarośli, czy na tle jaskrawego klombu postać dzika i znienawidzona. Czasem taki żołdak trzymał w ręku rewolwer, czasem tylko nahaję.

Myśmy zaś rozmawiały o ścieżkach, których gracowanie, bardzo u mojej babki przestrzegane, było „chwilowo" w zaniedbaniu, o zielsku w niepielonych grzędach, o zachodzie słońca pięknym, o aktualnych potrzebach ogrodu. Bujne było lato zarówno w kwiatach, jak w zbożu. Stawałyśmy nad amarantową werweną, zachwycały się lewkonją, jej świetnym fioletem — oglądały zdaleka widne na falistych polach sterty!.. Jednocześnie od czasu do czasu zamieniałyśmy z Oczką krótkie spojrzenia tak odległe od pogodnych wrażeń otaczającego na piękna, jak odległa była sroga rzeczywistość. Moja babka, przedstawicielka starej kultury, której wymagania żadne zamęty nie były w stanie w niej osłabić, mówiła o dyspozycjach dla ogrodnika. Były dziury w parkanie — była słoma na odwiecznie gracowanych drożkach.

I rzecz karygodna, ogrodnika nigdzie nie było widać. Ja wiedziałam więcej: że produkty marnują się w ogrodach niesprzedawane i że tytoń bez naszej wiedzy był zebrany, ale nic nie mówiłam.

Jeden bolszewik z wspaniałem jabłkiem w ręku zbliżał się.

— Pomieszczyca? — zapytał — pokazując na moją babkę.

— Tak.

— Nie bała się zostać? Nie mówili wam, że bolszewiki, to zwierzęta? aaa?

— Nie bała się zostać.
— I ludu swego się nie bała?
— Nie, tego wcale.
— Nu! niczewo!.. to nic jej nie będzie.

Odszedł z jabłkiem, brudny i obdarty, a myśmy chodziły wolno dalej. Rzadko mnie kiedy jaki spacer tak śmiertelnie zmęczył. Myślałam o żonie wywiezionego p. B., o licznych dzieciach, które widziałam w pierwszych miesiącach światowej wojny we dworze literalnie skąpanym we krwi, bo były boje i szpital naprzemian na miejscu. Stały mi w oczach dziwne, straszne trumny, których już nigdzie nie widziałam potem. Trumny z szklannem wiekiem, ze zwłokami oficerów odkopanych z pod ziemi — mieli je wieźć do Petersburga. Twarze jaśniejące księżycową zaiste bladością prześladowały mnie potem długo — i parę lat pierwszych wojny księżyc miał dla mnie nie górne blaski z za świata, ale jakąś podziemną bladość trupią — nie mogłam na niego spokojnie patrzeć.

Wspomniałam ten obszerny dwór w Kownatach pełen krwi, rannych i trupów już sześć lat temu. Dzielną postać pani B., która pomimo bojów o parę wiorst w Jedwabnem, bronionem miesiącami całemi piędź po piędzi — trwała na stanowisku z mężem i dziećmi. A teraz, gdy wszyscy wyjeżdżali, znów została i męża jej wywieziono, a ona jest w męczeńskiem opuszczeniu. Człowiek, który myśli, jak ja

myślałam, że czeka go śmierć prędzej, niż życie, ma spotęgowaną zdolność przejęcia się cudzą dolą i współczucia. Nigdy pani B. nie domyśliłaby się nawet, jak gorącą myśl słałam w jej stronę, jak ten dom krwawy, stojący mi jeszcze w oczach z przed sześciu laty, był dla mnie wraz z tą panią czcigodnem gniazdem oporu i polskiej męki.

Tymczasem nad naszemi głowami, których ciężkiej myśli nikt głośno nie wyrażał, zapadał zmierzch w wonnym ogrodzie. Wracałyśmy z moją babką do domu wolno, znów omawiając ścieżki, owoce, kwiaty i łaskawą pogodę.

Rjazik tymczasem był gdzieś wezwany i wróciwszy, dowiedział się, że „stara pomieszczyca" raczyła wyjść do ogrodu. Był niepocieszouy, że jej nie widział. Prosił, by nazajutrz nie zaniedbała spaceru! W ciemnej wyobraźni tego syna ludu ciemiężonego wiekami — przedstawiała się polska obywatelka, jako jakaś siła zła, niepospolita i godna uwagi. Widząc to, myślałam, co za błędne koło fanatyzmu oplata dusze nawet tych bolszewików, co, jak Rjazik, nie byli łupieżcami, tylko szczerymi wyznawcami fatalnej idei. Wtedy odczuwałam tę przepaść ostrą, niczem nie dającą się złagodzić, przepaść, która dzieli, jak żywioł, dwa elementy wrogie nie z przypadku, ale z natury: Rosja — Polska.

Gdzież katowany mużyk z nad Wołgi, któremu, jak mi przytoczył Rjazik, odpadały z mrozu palce

przy budowaniu pałaców dla archirejów i szlachty— mógł kiedy pojąć nawskróś chrześcijański typ ideału polskiego? Gdzież żądza zemsty mogłaby być jasnowidząca i sprawiedliwa? Rozumiałam beznadziejność — która trwa już wieki i jeszcze wieki trwać będzie.

## XIV.

Po wsi rozłożone były tabory moskiewskie i szło w głąb kraju nie wojsko obce, ale jakby całe dzikie plemię. Widywałam chłopów rosyjskich w rubaszkach, chłopów rudych lub czarniawych, z gęstym zarostem, z żonami i dziećmi. Obozowało to na złupionych wozach, żyło dostatnio z kradzionego, oglądali co chwila rabowane gospodarstwo, rozłożone wokoło — garnki, koce, naczynia, — ich twarze wyrażały zadowolenie i pychę.

Pamiętam małego Moskala, który stał obok wozu, pełnego naszych kuchennych naczyń. Gdy mu powiedziałam, by oddał, bo to moje, twarz jego dziecinna zabłysła niesłychaną zuchwałością:

— Bierz! — zawołał, ująwszy się pod boki.

— Sprowadzę ci komisarza, to odbierze — powiedziałam.

— Sprowadź, to zapłacisz potem! — odparł z siłą nienawiści.

I stało takie zamorusane moskiewskie pacholę na siwej polskiej drodze i groziło mi z siłą odwiecznej plugawej chciwości plemiennej.

Sprowadzałyśmy nieraz w takim wypadku komisarza Rjazika, który twierdził, że rabunek jest śmiercią karany w wojsku bolszewickiem, ale było to bardzo ryzykowne. Komisarze wyjeżdżali, a motłoch zostawał i mogła być sroga zemsta za oskarżenie. Zdawałam sobie z tego sprawę, ale trudno się było powstrzymać od tej walki o polską własność, która z naszej strony była prowadzona z żywiołowem poczuciem, że to jest symbol walki o wolność.

Pani Oczka zobaczyła dziewięć wozów pełnych sprzętów z dworu mego stryja. Stały na stajennym dziedzińcu, między niemi był jeden wielki nasz kilim!

Wezwała komisarza, by jej towarzyszył do odebrania go. On poszedł, ale oboje po drodze słyszeli mściwe urągania; pani Oczka kilim odebrała, lecz komisarz usłyszał:

— Siewodnja ty komisar, a zawtra ja tjebja ubiju!...

Taka to jest dyscyplina.

Tego dnia, gdy to się stało, wyszłam do sklepiku spółdzielczego, by się postarać o kawę. Sklep był naturalnie zamknięty po obrabowaniu, ale sklepowa przyjęła mnie wzruszająco.

— Boże drogi! pani o kawę, a ja drżę o pani życie... co oni tu mówią... ot i teraz — wskazała na

gromadę sołdatów — mówili... pani! pani! oni zabiją! trzeba uciekać — powtarzała z uniesieniem i taką prawdą w głosie, że pomyślałam, iż musiała nie byle co usłyszeć.

Moje wrażenie było dziwne: najpierw ogromnej słodyczy, że ktoś o mnie myśli i ktoś się o mnie boi. W twardem życiu tych dni odwykłam od tego. Potem myśl, że jest to nietylko możliwe, ale bardzo prawdopodobne, że oni mnie zabiją—i jednocześnie, czego doznałam też później w jednej groźnej chwili, niewiadomo z jakiej przyczyny wrażenie, pozbawione smutku, że świat jest nieopisanie piękny w taki słoneczny dzień sierpniowy.

Poczem dopominałam się jednak o kawę, dziękując tej kobiecie rzewnie za jej dobroć.

Ona powtarzała jak nieprzytomna.

— Że jeszcze kilka dni tylko... mówią... niech się pobawi, potem dołek sobie będzie kopała. Zabiją! Jezu! Zabiją!...

— Cicho — powiedziałam, bo tego jednego nie mogłam znieść, by mi przypominała metody, w związku z któremi już lat parę serce przechodziło męczeństwo.

Wróciłam do domu pod dominującem wrażeniem dobroci tej kobiety. W twarzy jej, wyrazie oczu była piękna troska nie o siebie, tak rzadka, w twarzach widzianych od paru tygodni, że nie łatwa do zapomnienia.

Wokoło domu snuła się wciąż czerń uzbrojona. Ich upodobanie do damskich kapeluszy dawało momenty humorystyczne. Wszelkie znalezione kapelusze nakładali na głowy, by wyglądać, jak potworne błazny.

Właśnie byłyśmy z panią Oczką na piętrze, gdy zobaczyłam zjawę sunącą po ogrodzie w jakimś turbanie wschodnim.

— Oczku, Chińczyk! — zawołałam żartem, pani Oczka zaś wychyliła się gwałtownie przez okno z twarzą namaszczoną przejęciem. Podchodził pod same okna kałmuk o skośnych oczach, twarzy żółtej i czując się podniecony jedwabnym beretem damskim (nawet wykwintnej roboty), który zwisał mu lekko w jedną stronę, nadawał swoim krokom jakąś wagę szczególną, pozory elegancji błazeńskiej.

Widząc nas, nastawił bagnet i zawołał:

— Co mi się przypatrujesz! jeszcze się doczekasz!...

Poczem odszedł, poprawiając na głowie jedwabną czapkę.

Pod wieczór, gdy zapaliły się nad Łomżą zorze po łagodnym dniu, karminowe i pasmami ostremi obejmowały pół nieba, a na drugiej połowie wschodził złotawy na ciemnym szafirze księżyc—wyszłam do ogrodu. Było chwilowo pusto, gwar w trzech kuchniach dworskich zwiastował zbliżającą się kolację bolszewicką i oddychałam z ulgą.

To były momenty, w których czerpałam siłę. Niebo pełne wieczornych blasków; powoli zmierzchem ogarniana dolina; cichość drzew o potężnych konarach i gdzieniegdzie siwe nocne sowy na wierzchołku. Ale dalej, za parkanem ogrodowym, był o tej porze największy gwar. Ludzie z fabryki i z folwarku gromadzili się — i trochę jak wzburzone fale żywiołu wyglądały te ludzkie głowy radzące. Słyszałam te rozmowy; nie kryli się przedemną, gdy chodziłam do fabryki, ani unikali mnie, gdy nadchodziłam, a mówili o różnych rzeczach.

Propaganda bolszewicka, wytężona i przed szatańskiemi nie wzdrygająca się metodami — była ogromna. Przytem ta systematyczna młócka, ten wielki aparat administracyjny i aprowizacyjny, to piekielne tempo, w jakiem szedł najazd, nie napotykając większego oporu; wszystko to sprawiło, że ludzie prości, nawet najporządniejsi, nietylko nie widzieli prędkiego końca tych obcych rządów, ale wogóle ich końca nawet nie przypuszczali. Tego waloru moralnego, który stanowi o wszelkiem zatrzymaniu wojskowej klęski — nie brali w rachubę, więc rozumowali tak: „przyszli i puścili ich, idą dalej — któż ich stąd wygoni“?

Tak rozumowali lepsi, a gorsi, nieliczni, mówili: „nareszcie“ i zacierali ręce. Wszystko razem wytwarzało atmosferę bolesną w swem zupełnem oderwaniu od pryzmatu polskiego — atmosferę typową

wzburzonych podniet ślepych, wokoło ściśle materjalnego bytu osnutych.

Słyszałam naprzykład takie słowa z ust znanego mi uczciwego rzemieślnika:

— To jak to nie było nasze, toście harowali dniem i nocą, a jak nasze, to każdy się wałkoni i nic nia robi! wstyd prawdziwy!

I rzecz charakterystyczna, że w tej komunie bezpańskiej, jaką był folwark w te czasy, wzmogły się ogromnie swary. Więcej pragnienia odjęcia drugiemu, niż nawet dostarczenia sobie. Rozpętane zawiści i kram o chleb, ale już nie o czarny, tylko o pański, biały. Ja nie czułam, patrząc na to, żadnej ansy klasowej posiadaczy. Owszem, nigdy mnie tyle szczerze demokratycznych myśli nie chodziło po głowie, jak na widok tych ludzi spracowanych, tych rąk zniekształconych robotą –widzianych teraz, gdy oni byli w nieporównanie lepszej sytuacji odemnie, to znaczy, gdy ja miałam, w najlepszym razie, głos dozorcy, a oni decydujący. I gdy mnie groziła śmierć, a im pozory lepszego życia.

Nie bolałam też nad tem, że odjęte mi jest coś, co obyczaj i prawo przyznawało mi zawsze — ale niezmiernie bolałam nad tą sumą zdrowego polskiego wysiłku, jaki przedstawia kulturalny folwark i fabryka—wysiłku, który w oczach moich z godziny na godzinę coraz się więcej zaprzepaszczał wraz z szerzoną niszczycielską doktryną wroga.

## XV.

Ludzie prędko, jak do grzechu, przywykali do pojęć opacznych o własności. Ten brak charakteru, który cechuje naszą epokę, sromotnie się uwydatniał przy najeździe. Ludzie zapominali, że była własność prywatna i ciemne swe głowy wypełnili prędko wizją, bez konturów stałych, objęcia dóbr cudzych. Trzy niedziele z rzędu kościół był pełen — zastanawiałam się nad tą religijnością, która w kościele śpiewa i modli się, a na polu kradnie, co się da.

Całemi dniami na dziedzińcu gospodarskim omawiano sprawy list aprowizacyjnych, płac, oraz produktów. Przytem omawiano to z taką żarliwością, że nie raz, śmiejąc się, mówiłam:

— Słuchając was, myślałoby się, że to już tak zostanie na zawsze!

Oni odpowiadali.

— Proszę pani zima za pasem...

I była w tem zdaniu pewność, że przed zimą zmian nie będzie.

Ja zaś nie wiem czemu, mówiłam z przekonaniem:

— Na Matkę Boską Siewną wszystko będzie skończone.

Zarazem bałam się trochę, czy taka pewność nie jest zuchwalstwem, za które Pan Bóg każe mi odpokutować. Czasem też myślałam, że jeśli ten potop ma trwać i to uczucie klęski, i ta słaba, tchórzliwa postawa ludu i to odcięcie od świata polskiego przy trwaniu na własnej ziemi — to śmierć jest lepsza. Potem uśmiechałam się, że jest może bliższa, niż mi się zdaje i niżbym pragnęła.

W nocy rabunek ogrodu i barbarzyńskie niszczenie uli napełniało zadrzewione przestrzenie odgłosami takiemi, że dziś robi mi się na ich wspomnienie zimno. Póki był sztab we dworze, miałyśmy noce względnie spokojne: nie było tego łomotania wśród ciemności i wpadania band, które jest pełne grozy. Ale byłyśmy z Oczką świadome tego, że sztab odejdzie, a motłoch zostanie i że czeka nas jeszcze wiele. Gdyby huk armat, gdyby odgłosy bitwy! — ale cisza śmiertelna panowała na pobrzeżu.

Komisarz Rengielewicz spełnił obietnicę i przysłał mi dokument, upoważniający do administrowania ogrodami. Oderwało to moją myśl od wszystkiego, co było bez wyjścia, i skierowało do wyniku konkretnego.

Musiałam się w tym celu wybrać do Łomży, a nie miałam ani jednego konia do dyspozycji. Trze-

ba było pójść pieszo. Po naradzie z Oczką nad moją tualetą, w chustce na głowie i w towarzystwie miłego dwunastoletniego chłopaczka, którego obrałam sobie za opiekuna, wyruszyłam. Siedem wiorst drogi tylko, ale nigdy nie odbytej pieszo. Szłam jednak bez wysiłku, podniecona myślą, że nareszcie może się coś dowiem ze świata, z nowin bojowych. Ale żegnałam się z panią Oczką, jakbym nie miała wrócić. Polecając jej w razie czego to, co mi leżało najbardziej na sercu — myśl o mojej matce.

Droga wije się nad łąkami, z jednej strony wśród wzgórz i rozrzuconych chat z drugiej. Prześliczna polska droga, która się nigdy nie znudzi, w której jest i siła, i rzewność, i blask — w lustrzanych wprost wodach Narwi, ciągle na oczach widnych, — i w której jest nieśmiertelność. Cokolwiek się stanie — to nie przeminie i to jest polskie. Szłam i nie czułam prawie grozy położenia — przenikało mnie natomiast, do szpiku kości, piękno tej odwiecznej doliny.

Mój towarzysz opowiadał mi po drodze, gdzie były walki i pokazywał miejsca, pozycje fortów mijane. Sam nosił na forty pod gradem kul amunicję, przez most ostrzeliwany i prowadził rannych naszych, i nosił umarłych, przez te sześć dni, co Łomża się broniła. Wnuk powstańca, dziecko o rycerskim instynkcie pocieszało moją dumę narodową. Z tem też mi było lżej iść. Był czternasty sierpnia.

Po drodze zobaczyłam nagle przy świeżych okopach, robionych przez bolszewików, gdy forty były jeszcze w naszem ręku, duży stos kości ludzkich. Czaszki poniewierały się aż tuż pod naszemi nogami. Stanęłam — patrząc.

Chłopiec mnie objaśnił.

— To mogiła powstańców, bolszewiki odgrzebali, bo stąd ziemię brali do okopów.

Patrzyłam znów z czcią na te kości bohaterów, których spotkała śmierć kilkadziesiąt lat temu od Moskali, a teraz od nich także sponiewieranie.

W Łomży ograbionej, nędznej, bez chleba od dwóch tygodni, skierowałam się przedewszystkiem do biskupa. Pamiętałam, jak zwołał u siebie posiedzenie ziemianek na kilka dni przed inwazją i oznajmiając, że bezwzględnie zostaje, zachęcał panie do przetrwania na miejscu nadchodzącej burzy. Piękne to było stanowisko, pełne męskiej siły — budziło mój głęboki szacunek. Aresztowanie ks. biskupa w pierwszych dniach wejścia bolszewików i wzruszające jego oswobodzenie, wywołane presją ludu katolickiego na Moskali — to były największe i szczere emocje polskiego życia w pierwszym tygodniu inwazji. Ostatni raz byłam w rezydencji naszego dostojnika w lipcu, z matką moją, by złożyć zebrane datki i bieliznę na żołnierza. Wydało mi się w tej chwili, gdy wchodziłam zdrożona i w chustce na gło-

wie w te same progi, że to była kiedyś na innym świecie, tamta pogodna wizyta.

Ksiądz biskup przyjął mnie z dobrotliwością, która po wielkiem osamotnieniu parutygodniowem—była mi szczególnie miła, powiedział też z dobrym uśmiechem:

— No, radziłem paniom ziemiankom zostawać, ale pani, gdyby mnie była o radę pytała, tobym nie zachęcał.

Pytał o szczegóły, o zachowanie się ludzi; podziwialiśmy razem, jak Pan Bóg nas dotąd chroni. Ja mu opowiedziałam wypadek drobny, który miał miejsce w ubiegłą niedzielę, w związku z organizowaną przez biskupa poprzednio zbiórką odzieży dla żołnierza. Parę dni przed wejściem bolszewików obchodziłam wieś, zbierając dary. Dużo było we wsi kryjących się dezerterów. Na jednego natknęłam się, a że go znałam dobrze i z twarzy, i z zachowania, widziałam, że się cynicznie ukrywa w tak groźnej chwili; powiedziałam z oburzeniem:

— Wstydź się, chłopcze! to zbrodnia dziś uciekać, ja ciebie zadenuncjuję w Łomży.

Spojrzał na mnie złym wzrokiem, ale nic nie odpowiedział. Rodzina nie dała nic na żołnierza — cała chata była oporna i ziejąca duchem tchórzostwa. Minęło parę tygodni, gdy modląc się w kościele, wokoło którego pełno już było Moskali — uczułam na sobie mocne, ostre spojrzenie. Zmusiło mnie ono zwrócić oczy w głąb nawy i przyznaję, że przeszedł

mnie zimny dreszcz. Na środku kościoła stał prosto, z oczyma aż pociemniałemi od natężenia — tamten dezerter. Wzrok jego mówił:

— Teraz jedno moje słowo, a gorzej będzie z tobą, niż ze mną byłoby, gdybyś mnie zadenuncjowała wtedy — w Łomży.

Czując, że ma słuszność, rzuciłam mu we wzroku pełne zaufania niewytłumaczonego:

— Nie wydasz!..

I popatrzywszy mu chwilę prosto w oczy, modliłam się dalej.

Ale wracając do domu, myślałam:

— Dziś mogą być nowiny...

Ksiądz biskup kiwał głową, gdyż słuchał, rozumiejąc tak, jak ja, że to też łaska Boża, że ten chłopak się nie zemścił.

— Czrezwyczajki jeszcze niema — powiedział w pewnej chwili biskup, — ale przyjedzie napewno!

Odczułam, że nie myśli o sobie, taka szlachetna, o ogół troska była w jego głosie. Ja znów pomyślałam z niepokojem, jak ogromnie jest narażony i jako dostojnik Kościoła, i jako bardzo dobry Polak.

Aleśmy nie przypuszczali w tej chwili, że czrezwyczajka tak niedługo zacznie działać i biskup cudem ujdzie jej poszukiwań, a ja dowiem się o wpisaniu mnie na straszliwą listę.

## XVI.

Przewodniczący komitetu browarnego wraz z kilku rzemieślnikami, stojącymi na czele majątku, mieli ciężkie z bolszewikami przejście w obronie polskiego mienia. Nieraz grożono im rewolwerami. Nieraz widziałam ich twarze umęczone wysiłkiem i grozą położenia, bo choć w bluzach robotniczych i z rękami spracowanemi, stawali w obronie polskiej własności, jako prawi obywatele kraju, i jako takich też spotykała ich nienawiść Moskali. Nadto i z własnymi ludźmi, parobkami mieli trudności. Wychodzili z nich z taktem naogół i z dobrą wolą. Ale właśnie gdy się cieszyłam, że są ludzie mający posłuch ogólny i w dobrych bardzo ze mną stosunkach— że razem zdołamy może i na dłuższą metę coś obronić — zjawił się nowy komisarz z krańcowemi hasłami demagogji.

Siedziałam w fabryce nad książką buchalteryjną, mając wciąż przed oczyma fizjognomje podpitych Moskali, płacących bezwartościowe ruble za dobre

piwo, gdy rozeszła się po podwórzu elektryzująca wszystkich wiadomość o przyjeździe nowego komisarza. Kto, tak jak ja, pamiętał z czasów pobytu w Rosji te straszne w swej dzikiej wszechwładzy postaci komisarzy, kto pił przez lat trzy gorycz bez granic tego zła triumfalnie panującego, kto miał w sercu, jak otwartą ranę, polskie męczeństwo, co się zaczęło od potwornego rozporządzenia Krylenki — ten zrozumie, co czułam na to jedno słowo „komisarz“ na gruncie ziemi rodzinnej.

Znów był to Polak. Los chciał, że najwybitniejszych komisarzy widywałam nie Moskali, a Polaków — i było to dla mnie stokroć gorsze.

Dzień był upalny i pachnący zbożem. Na dziedzińcu gospodarskim stał otoczony już chmarą ludzi, gdy nadeszłam, komisarz Stokowski. Lat około trzydziestu, bardzo żywych błękitnych oczu, twarzy inteligentnej o rysach nawpół żydowskich. Robił wrażenie człowieka z wykształceniem, tembardziej to, co mówił, odbijało się od jego postaci. Twarz nawet była zupełnie nie sroga, głos nie brzmiący fałszem, owszem dużo spokoju i łagodności w wyrazie — ale co on mówił, ten Polak! Podeszłam w gronie naszych pracowników z księgą buchalteryjną pod pachą, bo codzień zabierałam ją do domu i w ciężkiej chuście, narzuconej pomimo upału. Patrzyłam mu prosto w oczy, gdy mówił. Przy komisarzu stał jakiś czło-

wiek mały o skośnych oczach, wciśniętym w twarz nosie—klasyczny typ skończonego zbrodniarza. Ten człowiek nie spuszczał ze mnie oczu, odkąd się zbliżyłam, i był to wzrok tak straszny, że kilku ludzi szepnęło, żebym może odeszła. Ale ja uważałam, że odejść jest gorzej; zresztą bardzo chciałam wiedzieć, co nowy komisarz powie i jak ludzie zareagują. Albo wie, kto jestem, i dlatego tak patrzy, albo nie wie, to i tak się dowie. Nie należało stchórzyć.

Stokowski powiedział, że ten majątek, który należał do ks. L. przechodzi na własność państwa od chwili objęcia władzy przez sowiety i mówił z nienawiścią o rodzinie właścicieli. Powiedział, że przyjechał tu przedewszystkiem, bo to jest jeden z najkulturalniejszych majątków w ziemi łomżyńskiej i wymaga też szczególnego dozoru, zwłaszcza, że nie ma famy dość socjalistycznej, tylko przeciwnie.

Zapytał o komitet miejscowy. Wystąpili pracownicy: młynarz, mechanik, pisarz.

— A! — rzekł komisarz — niewiadomo dlaczego, odróżniając specjalnie mechanika—pan to pewno jest kowalem, to panu się dobrze działo—ale tak być nie może, parobcy muszą stanąć na czele komitetów; oni muszą decydować, co dla nich dobre, a co złe. Zresztą, częściej wśród rzemieślników, niż wśród fornali, zdarzają się zdrajcy, co bronić chcą dobra panów, a nie uciemiężonego ludu.

Nie mogłam wytrzymać i choć ów towarzysz komisarza w dalszym ciągu nie spuszczał ze mnie oczu, powiedziałam z powagą:

— Czy pan naprawdę ludzi, którzyby sprzyjali właścicielowi z jakichkolwiek bądź względów wdzięczności osobistej, czy pojęć moralnych, czy wreszcie poczucia polskości, nazywa zdrajcami?

Taki surowy wyrzut musiał być w moim głosie, taka zgroza szczera, że komisarz spojrzał na mnie baczniej i rzekł:

— Może wyraziłem się zbyt surowo, ale z tem trzeba się liczyć: lud roboczy będzie rządził i musi rządzić tak, jak to jemu odpowiada; ludzie zacofani, lub sprzedajni, chcący pomagać dawnemu porządkowi, będą przez nas surowo tępieni; są szkodnikami. Przywiązanie do właściciela? Jeśli obywatele tak gremjalnie przed nami uciekali, to musieli bać się przedewszystkiem ludu—nie może ten lud mieć przywiązania do ciemiężców.

Potem zwracając się do ludzi:

— Będzie władza ludu — jest już władza ludu, ale wzywam was wszystkich do pracy, bez której nie zbierzemy owoców naszego zwycięstwa.

Praca! — to słowo, w którem tkwi sens świata, wypowiedziane przez człowieka, wzywającego do rządów ciemne masy, któremu nawet kowal wydaje się zbyt oświeconym na kierowanie fabryką i majątkiem mówi mu, że go zastąpi fornal! Trudno o większy

absurd i większy cynizm, jak słowo „praca” w ustach bolszewika.

Ze zgryźliwością zajadłą mówił w dalszym ciągu o ziemianach, o ustroju kapitalistycznym—zapewniał, że nastał czas władzy ludu i w Warszawie robotnicy czekają tylko na wejście wojsk bolszewickich, by stworzyć jednolity rząd komunistyczny. Mówił wiele rzeczy, od których wzdrygało się w człowieku wrodzone poczucie dobra i prawdy, poczucie tem jaskrawsze, im groza była większa, i tem bardziej umiłowane, im świat stawał się gorszy i posępniej w słońcu wyglądały zmącone złą ideą twarze ludzi... Mąt ten był widoczny. Ludzie słuchali z zaciekawieniem pełnem słabości wegetacyjnej. Zaciskałam zęby na ten widok.

Gdy komisarz Stokowski mówił o nienawiści, jaką budzi wśród bolszewików nazwisko jednego z współwłaścicieli Drozdowa i że jego czeka co najmniej wieczysta z kraju banicja — pomyślałam, że wolę tu na dziedzińcu powiedzieć kim jestem, niż czekać, aż zapyta o mnie we dworze.

Po dłuższym czasie, gdy skończył przemowę i rozmawiał z pojedynczymi ludźmi, zbliżyłam się mówiąc:

— Proszę pana na chwilę.

— Słucham pani, rzekł uprzejmie.

— Chciałam panu powiedzieć, że jestem Lutosławska.

Uśmiechnął się.

— Ani chwili nie wątpiłem — odrazu się domyśliłem.

Milczałam chwilę, a on rzekł:

— Ale ma pani szczęście, bo ja o pani słyszałem i słyszałem dobrze. Że jest jedna panna L. postępowych przekonań.

— Demokratycznych! — zaprotestowałam — nie postępowych — jestem wierząca.

Spojrzał bystro.

— Bała się pani?

Wtedy powiedziałam, drżąc, ale bez najmniejszego lęku, z uniesieniem:

— Nie, ale czekałam ze zgrozą, jak na zbrodniarzy, pan wie, kim ja jestem?

W oczach jego, jak i poprzednio u Rongielewicza, zobaczyłam iskrę jakby odruchów polskich, które nie są wyzbyte świadomości zbrodni.

— Taak — powiedział wolno — wiem...

— Potworna zbrodnia — powiedziałam z siłą — zamordowanie ludzi niewinnych, za to tylko, że są dobrymi Polakami.

## XVII.

Po tygodniowym pobycie poszła naprzód dywizja 53-cia, której sztab stał we dworze. Gdy odjeżdżali, dałam komisarzowi Rjazikowi następujące zlecenie.

— Widać, że pani niespokojna o matkę .. proszę dać jej adres, odwiedzę w Warszawie, uspokoję— powiedział mi kiedyś, spotkawszy w przejściu.

— Nie dam adresu.

— Boi się pani? Bardzo burżuazyjne mieszkanie, aaa?—i uśmiechnął się.

Na myśl, że ten Moskal może być przedemną w Warszawie i że wogóle może w niej być, jako zdobywca i pan życia i śmierci moich bliskich — serce mi zamierało z nadmiaru uczuć, na które niema nazwy.

— Nie — powiedziałam nagle — do Warszawy nie wejdziecie, ale dam panu parę słów do mojej matki i proszę w tem miejscu, z którego będziecie uciekali zostawić komuś, by odesłał.

Tak powiedziałam dosłownie moją fatalną ruszczyzną i pamiętam, że natychmiast po powiedzeniu odczułam cały komizm, oraz impertynencję mimowolną tej prośby, połączonej z przepowiednią ucieczki.

Ale powiedziałam to tonem szczerego, nieagresywnego przekonania i takiego pragnienia, by znak życia doszedł moją matkę, że nie zdziwiło mnie nawet w danej chwili, gdy Moskal z powagą powiedział:

— Budtje spokojna, te słowa matkę pani dojdą.

Warto przytoczyć, co się potem stało.

W kilka tygodni później, gdy już, szczęśliwa, byłam w Warszawie, przyszedł obdarty człowiek do kuchni. Przypadkiem, z odległego dość pokoju usłyszałam te słowa:

— Nic nie wiem... tylko, że jest jakaś matka i koniecznie, żeby znaleźć... tam... córka...

Momentalnie byłam przy nim. Nie wiedział nazwiska, bo nie umiał czytać, tępo szukał po całej ulicy, nim znalazł, ale w ręku trzymał zmiętą, naddartą brudną moją karteczkę daną Rjazikowi.

— Kto dał? — zapytałam wzruszona.

— Moskal pod Modlinem... żeby koniecznie w Warszawie odszukać... ja uciekłem z niewoli... to, powiada, nie tylko córka, rozumiesz, tam żyje i matce masz donieść... ale szukam i nie mogę znaleźć i deszcz... sam już nie wiem...

— To do mojej matki—powiedziałam—zrobiliście chrześcijański uczynek... niech wam Bóg wynagrodzi.

— Jakże! tak prosił i mówił, że to o polskich chodzi.

— To o mnie chodziło, byłam miesiąc pod bolszewikami.

Spojrzał, jak na zmartwychwstałą.

— Pani! — powiedział zmęczonym głosem — napatrzył się ja... straszne rzeczy widział... cud, że pani wyszła z życiem...

Ja wzięłam w rękę karteczkę, przesyconą mocno jodoformem. Zapachniała mi polem walki, krwią i śmiercią, oraz przemówiła swą cichą wymową. Pod Modlinem uciekający Moskal dotrzymał obietnicy. Uszanowałam we wrogu i w człowieku grzesznym czyn piękny i pomyślałam o nim z wdzięcznością.

— — — — — — — — — — — —

Ten dzień, w którym sztab wyjechał, będzie mi na zawsze pamiętny. W mieszkaniu po nich zostało siedmiu drabów — telefonistów. Nie było z nimi żadnego zwierzchnika i wyglądali strasznie. Lepsze już były noce, gdy wpadały bandy i najedzone, wziąwszy sobie, co się im podobało, odchodziły, niż, gdy pod jednym dachem zostawałyśmy z ludźmi o podobnych fizjognomjach. Ja nawet o tem nie myślałam, ale pani Oczka powiedziała:

— Wiesz, ci telefoniści, co zostali po odejściu sztabu, to mi się okropnie nie podobają!

— Cóż, muszą pozdejmować druty, tyle ich pozakładali.

I poszłam do mieszkania przez nich zajmowanego, by wziąć jeszcze kilka pamiątkowych rzeczy, na wszelki wypadek.

Jeden z nich zaszedł mi drogę i łypnąwszy oczyma, zapytał z ohydną w tonie złośliwością:

— Wy nie znajetje, kakaja eto wnuczka w etom domie?

Na „kakaja" i „wnuczka" położył jakiś szczególny nacisk i nagle uczułam przerażenie nie wytłumaczone, jakby przeczucie.

Spokojnie, wolno, patrząc im w oczy, odpowiedziałam, że to ja i wyszłam.

Około dziewiątej, jak zawsze, Oczka przemawiała do Macieja, polecając mu czuwanie nad nami w nocy szczególniej, ale usłyszała flegmatyczną w swej rezygnacji, odpowiedź:

— Dziś ja nie będę... chodzą tylko i odganiają... powiadają, że dziś oni będą pilnowali.

— Kto?

— A, te telefonisty...

— Jezus! Marja!

I pani Oczka przyszła mi powiedzieć:

— Wiesz, to straszne! Oni zostali, żeby z nami skończyć; nie dają Maciejowi zostać na noc w kuchni.

Wspomniałam plugawą twarz tego, co pytał o wnuczkę, i przymknęłam oczy, polecając się Sercu Jezusowemu.

Grałyśmy tego wieczora, jak codzień, w trylmę z moją babką, ale co chwila któraś z nas wychodziła, by badać położenie — byłyśmy już pewne, że nas czeka noc niepowszednia.

Około dziesiątej do naszej kuchni zeszli się wszyscy telefoniści i przytoczyli dwa antałki piwa. Byli już podpici. Macieja wygnali. Służące zapraszali na piwo, więc ze strachu asystowały pijatyce. Myśmy z góry słyszały odgłosy. Nagle cichemi krokami na piętro ktoś wszedł. Powitałyśmy, jak zbawienie dwóch robotników, którzy przyszli, jak robili czasem, pobyć parę godzin z Maciejem, by mu towarzyszyć w nocnem stróżowaniu, bardzo ciężkiem.

Cichemi głosami powiedziałyśmy im jak jest, prosząc o to, by zostali z bolszewikami w kuchni — im w każdym razie nic nie groziło, bo należeli do miejscowego komitetu, a obecność ich mogła nas uratować. Zaś nadewszystko prosiłam, by nam dali znać, gdy będą odchodzili, my i tak nie miałyśmy się kłaść.

Doznałam uspokojenia, gdy oni zeszli do kuchni i słychać było spokojną rozmowę.

W jakiś czas potem przyszła blada pokojówka i powiedziała:

— Oni mówią, żeby panienka przyszła się z nimi napić.

Wstrząsnął mną dziwny dreszcz od stóp do głów, lodowaty.

— Oczku! — powiedziałam błagalnie — ja nie mogę iść...

— Idę, idę — powiedziała szlachetna moja towarzyszka i zaraz dodała tonem burkliwym, który mnie rozrzewnił:

— Czego ja dla tej dziewczyny nie robię! — iść pić z Moskalami!...

Odeszła, a ja przy oknie patrzyłam w ciemną noc i odruchowo liczyłam gwiazdy.

— Raz, dwa, trzy — Boże!... jakie to są fizjognomje...

— Raz, dwa, trzy, cztery... sierpień!... tak zawsze lubiłam ten miesiąc... czy też mi przyjdzie umrzeć... o! jest coś w powietrzu... straszna noc... a taka cicha... i te gwiazdy... raz, dwa, trzy...

Oczka wróciła, ale miała twarz zmienioną.

— Napewno zostali po to, żeby z nami skończyć. Odprawili obu robotników. Są pijani i nie myślą z naszej kuchni odejść.

— Jakto! odeszli ci dwaj, nic nam nie powiedziawszy? — zawołałam ze zgrozą.

— Cicho! — już ich nie zastałam. Widać ich wygnali. Chodźmy.

Weszłam z Oczką do salonu, gdzie sypiałyśmy obie, mając z jednej strony sypialnię babki, z drugiej garderobę z Olesią. Drzwi naszego pokoju wychodziły na korytarz główny przy schodach.

Oczka zamykała pokój na klucz, ja zaś klękłam przy łóżku, które stało tuż przy drzwiach i zaraz się zaczęłam modlić, rozumiejąc, że już nam nic nie pozostaje do zrobienia prócz modlitwy. Nie rozmawiałyśmy wcale.

Około północy po schodach usłyszałam liczne, skradające się kroki. Moskale szli na piętro.

## XVIII.

Były to kroki wśród nocy przerażające: skradali się. Wolałabym, żeby szli, stukając głośno butami, tymczasem niektórzy pozdejmowali nawet obuwie i słychać było coraz bliżej szepty i tupot nóg bosych. Więc najpierw rabunek — pomyślałam, a potem będą się do nas dobijali.

Na piętrze, tuż przy drzwiach naszych, zaczęły się rozlegać odgłosy tajonego jeszcze rabunku. Przytem zapach spalenizny — nie znajdowali kluczy od elektryczności i oświetlali sobie, zapalając papiery. Coraz to skrzyp szafy otwieranej wytrychem, kroki obok, kroki nad nami na drugiem piętrze, na strychu jednym, drugim i trzecim. Przytem jedni szli naprzód, a drudzy z łupem schodzili. Od czasu do czasu łomot wywróconego krzesła, zbitego szkła, ściągniętego z firankami gzymsu.

Czasem który potknął się w ciemności o nasze drzwi, aż zadrżały — wtedy nadsłuchiwałam ze struchlałem sercem, czy będzie chciał te drzwi otworzyć

Wymknąć się, by dać komuś znać, było niepodobieństwem— cała rzecz polegała na tem, by o naszem istnieniu zapomnieli, co nie było niemożliwe, wobec tego, że byli już zupełnie pijani. Wyjść zaś, znaczyło pokazać się im i przypomnieć o sobie.

Wreszcie głosy ich zaczęły się wzmagać, nie krępowali się już wcale—naprzeciw nas w stołowym pokoju słychać było grube śmiechy. Jednocześnie inni chodzili po całym domu.

— Już są na strychu z futrami — mówiła pani Oczka szeptem.

— Nic, pani, nic, aby nie tu...

— Oh! Przeszli na tamtą stronę domu ukrytem przejściem na górze... musieli wyłamać... tam było jeszcze zamknięte...

— Cicho, pani Oczku!

I modliłam się na klęczkach dalej.

Ale pani Oczka wspominała widać różne przedmioty z powrotem, przez moją babkę, miłującą ład, układane w ostatnich dniach w szafach, bo stawała się coraz niespokojniejsza.

— Szafa bieliźniana skrzypi! Dobrali się! Reszta obrusów!

— Nic, proszę pani — odpowiadałam ledwo dosłyszalnym szeptem — bo zdawałam sobie sprawę z grozy położenia i pragnęłam, by jak najdłużej rabowali, zapomniawszy o nas.

Nagle kroki szybkie i bicie rękami w drzwi naszego pokoju.

— Atkrywaj, haziajka!...

O! łomot w nocy do drzwi, których otwarcie znaczy śmierć lub gorsze stokrotnie pastwienie się!..

Zapanowała śmiertelna cisza.

Myślę, że słychać było w pokoju, jak nam bije serce.

Nie mogłam powiedzieć nic pani Oczce, bo Moskalby usłyszał, gdyż była właśnie w przeciwległym końcu pokoju, przy oknie. Ale powiedziała po chwili to, co chciałam.

Tonem opanowanym, zdumiewająco naturalnym rzekła:

— Nie, bracie, nie otworzę ci już, już leżę, spać mi się chce...

Rzecz nieprawdopodobna: zamruczał, odszedł, wrócił z kilkoma, coś mówili. Czekałyśmy.

— Atkrywaj!...

To zdawało się już nieodwołalne, a pani Oczka znów powiedziała, tym razem lekko zachrypniętym głosem:

— Dajcie spokój, spać się chce człowiekowi, późno...

Ja mówiłam w myśli:

— Najświętsze Serce Jezusowe zmiłuj się nad nami!

I Bogu przypisuję tę cudowną rzecz, że ci rabusie odeszli od drzwi.

Czułyśmy, że lada chwila mogą znów wrócić, ale nie wiem dlaczego, miałam wrażenie, że najgorsze minęło. Klęczałam, modląc się do trzeciej w nocy, bo do tej godziny słychać ich było ciągle po pokojach, strychach, przy szafach i skrytkach. Brali, znosili, wracali na górę, ocierając się o nasze drzwi. Pani Oczka, słysząc ich przy jakiejś szafie, szepnęła:

— Nie! to niemożliwe! ograbią nas doszczętnie! pójdę i nastraszę ich, może się zabiorą!..

Przytrzymałam ją za rękę.

— Niech panią Bóg broni, za nic nie dam pani wyjść.

Milczałyśmy znowu. Ale po jakimś czasie cicho otworzyły się drzwi z korytarza do pokojów pani Oczki, przylegających ścianą do naszego, ale bez wewnętrznej komunikacji. Pokoje te zawierały główne nasze zapasy, były dotąd najmniej plądrowane, bo Oczka mówiła, że to jej, a brali ją za ubogą nauczycielkę. Oczywiście zamknięte były stale na klucz, nawet gdyśmy tam wchodziły w ciągu dnia, zamykałyśmy od wewnątrz. Otwierali teraz wytrychem i w ciemnej nocy, wśród ciszy ta złodziejska sprawność, przed którą niema ukrycia, była przerażająca.

Przez ścianę słyszało się dokładnie wszystko. Była to ściana przy moim łóżku. Miałam tam też resztki swoich rzeczy, wziętych z dolnych pokoi, ale

nic mnie to nie obchodziło oczywiście. Myślałam tylko wciąż, czy się będą znów dobijali.

Tu nastąpiła nieprzewidzianie komiczna rzecz. Pani Oczka najpierw jęknęła:

— Już są u mnie!...

Potem:

— Otwierają mi szafę!...

Było tam, zmiarkowałam po głosie, jeszcze mnóstwo rzeczy...

Poczem znowu:

— Już plądrują w szafie!...

A bezpośrednio potem:

— Wola Boża!.. — i rzuciwszy się na łóżko, zasnęła natychmiast snem kamiennym. Chwilę nadsłuchiwałam. Oddech równy, spokojny. Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu; było w tem coś niezmiernie komicznego Ale klęczałam w dalszym ciągu do białego świtu. Całą noc też rabowali, otwierali wszędzie drzwi, szafy, skrytki — ale do nas już nie dobijali się więcej.

Wczesnym rankiem wyszłyśmy obejrzeć spustoszenia po okropnej nocy: wszędzie były ślady ich gospodarki. Pokradziona bielizna, firanki, rolety i wszędzie po podłodze spopielone papiery, któremi sobie świecili. Oczka w ciągu nocy kilka razy powiedziała:

— Oni nas puszczą z dymem!—i widząc te papiery, mówiłyśmy sobie, że łaska Boża nad nami była wielka.

— Telefoniści znikli—dom był pusty.

Zmęczone nocą, ale z otuchą obchodziłyśmy wszystkie kąty domu, brudnego i pełnego śladów moskiewskiej anarchji — domu, z którego sześćdziesiąt lat temu, w straszliwą zawieruchę, wywieziono właściciela, by jako postrach zbuntowanego obywatelstwa, powiesić w więzieniu łomżyńskiem. Patrzałam na nienaruszony na ścianie portret mego dziada i myślałam: wrócił z więzienia, jakby cudem, i tu dokonał życia. A ja? Czy przeżyję tę stokrotnie gorszą od tamtej pożogę wojenną, w której jest jakaś nieprzebolała sromota?

## XIX.

Coś się jednak zaczynało zmieniać. Dotąd ludzie z zabobonną trwogą mówili o tem, że z Moskalami idą Chińczycy i Turcy — nierzadki był taki, co twierdził, że idą na Polskę cztery miljony tego wojska. Gospodarze z podwód wracający szeptali o bolszewikach pod Warszawą, o rządzie opuszczającym stolicę, o Piłsudskim, że podał się do dymisji...

Człowiek słuchał i w błękitne, nad wodami Narwi, ranki zapuszczał wzrok na tamtą stronę doliny, jakby szukając ratunku.

Mówili też niektórzy:

— W lato, i w syte, urodzajne, puścili ich tak w głąb kraju, kiedy żołnierz na polu i wszędzie miał co zjeść, a jesienią albo zimą jaka siła ich wypędzi? Bogać tam wypędzi!

Kłopotali się o drzewo na zimę: spokojnie, po gospodarsku, o drzewo na zimę pod najeźdźcą!... jakby pogodzeni z losem, tylko myślący o swoim dobytku. Odrażająca w tem była obojętność na sprawy polskie.

Ruble bolszewickie, za piwo otrzymywane, robotnicy brali chętnie, nawet o zaliczki znaczne się upominali, bo uważali, że to dobry pieniądz. Dopiero jak stwierdzone zostało, że u nas na dziedzińcu, w śpichrzu robią Moskale te pieniądze na poczekaniu — to zapał do rubli osłabł znacznie. I jakby z tem w parze do materjalnej sytuacji i otwierających się perspektyw. Coś się zaczynało zmieniać.

Najpierw jakiś chłop trzymany na podwodach zamamrotał przy twarzy o najobojętniejszym wyrazie:

— Cepy brać... widły brać... piorą ich... wszystko będzie zmykać...

Jakby iskra elektryczna przeszyła posępną i sromotną atmosferę. Zaczęto mówić o Francuzach, że naszym wojskom pomagają, o jakichś bombach rzucanych na wielkie obozy bolszewickie pod Ostrołęką i o panice wśród tych obozów. Nie chciałam się łudzić, ale jakaś radość, jeszcze pół-ślepa biła się w człowieku i łomotało serce.

Wracałam z fabryki, jak zwykle z księgą pod pachą, gdy spotkałam na szosie bolszewika. Był młody, ostre zęby niekształtne krzywiły mu złośliwie usta i nagle mijając mnie, powiedział szczerze obojętnym głosem:

— Cóż tobie po książce, kiedy ty i tak już zapisana na liście...

Chciałam odruchowo zapytać na jakiej, ale we wzroku ten człowiek miał coś takiego, że trochę tylko przyśpieszywszy kroku, odeszłam.

Dzień był, jak wiele z kolei piękny i cichy. Wróciłam do domu, patrząc z upodobaniem na każde drzewo i każdą polanę po drodze, z fizycznem uczuciem radości, spowodowanej prądem dobrych wieści, ale pod silnym wrażeniem słów tego Moskala. Słowa były zbyt dziwne, by je wymyślił bez podstawy. Jeśli mu chodziło o mój przestrach, to przecie daleko łatwiej było pogrozić mi rewolwerem, który miał przy sobie, albo wręcz strzelić; niktby mu nie przeszkodził i nicby go za to nie spotkało. Wiedział o której codzień wychodzę z fabryki — cóż było prostszego!... Nawet na środku dziedzińca mógł zabić — niktby się nie ośmielił ruszyć. To wiedziałam napewno. „Lista“ — co to mogło znaczyć? Przypomniały mi się nagle słowa biskupa o czrezwyczajce, że napewno przyjedzie do Łomży. Jednocześnie moje surowe słowa o bolszewickich zbrodniach do komisarza S., potem to, co słyszałam z ust poważnego człowieka o pani Jarnuszkiewiczowej, kierowniczce szkolnictwa średniego przy bolszewikach. Powiedziała przy nim, jak mi mówił, że linczowanie burżujów można zacząć od rodziny L., z której pozostał ktoś w Drozdowie.

Pani Oczka odezwała się, gdy wróciłam:

— Tobie coś jest — miałaś jakąś przykrość?

— Niee — powiedziałam z wrażeniem, że im mniej się będzie o tych rzeczach mówiło, tem lepiej.

Pod wieczór zjawił się nieznany komisarz, o grubjańskim i nikczemnym wyglądzie. Przyprowadził go eks-wójt, nieszczególnej opinji. Pytał, jak żyjemy, czego nam brak, czy nas bardzo ograbili. Ale oczy jego biegały po mnie i po otaczających przedmiotach w sposób taki, że choć chciałam wstać i wyjść, czułam się przygwożdżona do krzesła; nie śmiałam się ruszyć.

— Sprowadzę się tu i będzie dobrze! bardzo dobrze! — zakrzyczał grubym głosem tak znacząco, że pomyślałam:

— Trzeba przedewszystkiem odejść.

Oczka też to musiała pomyśleć, bo powiedziała mi cicho:

— Odejdź, ja zostanę.

Po jakimś czasie miałyśmy z Oczką nowe zmartwienie: komisarz kazał sobie przygotować pokoje i zapowiedział, że już na tę noc się sprowadzi. Sztab mieszkający w domu, to była pewna gwarancja spokoju; ale jeden komisarz ze swą służbą i to tak wyglądający, to było daleko gorzej, niż dom pusty.

Zaczęłyśmy się zastanawiać, gdzie go umieścić, by nie miał na nasze piętro komunikacji. Kluczy w zamkach brakło; gorączkowo posłałyśmy po mechanika i kowala, by dorobili parę zamków, niezbędnych dla utrzymania tego człowieka na dalekim końcu domu bez wewnętrznego połączenia z piętrem. Ale zmierzch zapadał, a oni nie przychodzili. Więc sa-

me z wysiłkiem, drutem i gwoździami, starałyśmy się izolować pokoje. Coraz to jakiś tętent po szosie, lub u bram, czasem światło wydawało nam się za jaskrawe, przysłaniałyśmy je, czasem gasiły na chwilę, gdy się rozlegał też na dole hałas głosów niezwyczajny. Ale komisarz nie przybywał. Myślałam, że jak nam każe w nocy pokazać sobie pokoje, to będzie jeszcze gorzej i prawie pragnęłam, by przybywał prędzej.

Ale po dniu zawsze pracowitym ogarniała mnie taka nieprzezwyciężona senność, że ledwo mogłam wytrzymać. Około północy postanowiłyśmy się zabierać do snu. Zaczynało się to od obchodzenia okien, drzwi, od przemowy zwykłej do Macieja, od dłuższej chwili na ganku przy podsłuchiwaniu odgłosów zdala i zbliska, spojrzenie na gwiazdy, na niebo i — powolny powrót na górę do jednego pokoju, w którym się od tylu dni żyło.

Gdyśmy weszły do salonu, po dłuższej chwili spędzonej jeszcze na ciemnym strychu, gdzieśmy jakąś sprawę gospodarską omawiały, uderzyła nas dziwna jasność. Z okien biła potężna łuna, w której blasku drzewa wyglądały, jak w majowej zieleni. Serce mi zamarło. W 1914 r. widziałam tygodniami całemi, gdy Niemcy bili się przez osiem miesięcy o kilka wiorst od nas, Drozdowo w wieńcu rubinowym pożarów, i był to widok ze wszystkiego dla mnie najstraszniejszy. Podczas inwazji teraz bolszewicy nie palili, uważając widać, że nie trzeba niszczyć dobytku, który będzie ich własnością.

Babka moja z sypialnego odezwała się:

— Moje drogie, jest jakieś dziwne światło w ogrodzie — patrzcie...

Ale myśmy już patrzyły od dłuższej chwili i zaraz wyszłyśmy obie z Oczką dowiedzieć się, co to jest.

Przed domem uderzyła nas znów siła tej łuny i jej niezwykła jaskrawość. Pożar był tuż — czy się paliła cała wieś? Kto podpalił?

Szosą biegli już ludzie, wołając coś o kozakach, im też, jak mnie, przyszła myśl najgorsza.

Otwieram bramę ogrodową rękami, które trochę drżały i w tej chwili objęłam nagle całość tego, co z nami się dzieje i co nas czekać może, z jakiemś poczuciem pierwszy raz, oświetlonem tą krwawą pożogą. Pomyślałam, że idzie zagłada i że nic nas nie uratuje.

...Ucieczka... las... i śmierć — pomyślałam, nie wiem czemu, w tym porządku.

Śpieszyłyśmy z Maciejem na wzgórze, by zobaczyć, co się pali.

Była to jedna tylko chata z całą zagrodą, we wsi, ale paliła się od benzyny, dlatego łuna była tak jaskrawa i pożar gwałtowny.

Kobieta ukradła naszej benzyny od pługa motorowego i chciała sobie tem zapalić lampę. Więc jej spłonęła doszczętnie cała wielka nowa chałupa i poparzyła sobie ciężko obie ręce. We wsi mówiono długo, że to kara Boża i znak na zmianę złodziejom.

Siedlce, Sienkiewicza 40.

## XX.

Tak, stanowczo, musieli być bici — twarze ich wyrażały niepokój i choć nie było widać wojska cofającego się, wcale też żadne nie szło naprzód. I nagle w jakiś ranek usłyszałyśmy na nowo huk armat. Odległy był, aleśmy go słuchały nieomal, jak głosu świętych dzwonów. Nie są pod Warszawą! nie mogą tam być! Armaty słychać w stronie Ostrołęki! O radości! o dumo! nie przebyli nawet Bugu!... Więc nie było takiej klęski, jak mówili bolszewicy, pastwiąc się nad naszem uczuciem narodowem. Takeśmy sobie mówili na folwarku z ludźmi, z gospodarzami, spotykanymi na szosie, w domu, rano i wieczór, ze służbą i między sobą.

Nie myślałam ani na chwilę, że moment odwrotu może być gorszy od pobytu bolszewików i od ich wtargnięcia. Mówili to ludzie, w Łomży nawet przepowiadało mi to wielu — ale głos armat przemawiał do mnie ponad wszystko. Biją się!—i huk się zbliżał — cóż mogło być lepszego i bardziej miłego?

Bolszewików było mało i coraz mniej. Grupy jakby bezradne i zdezorjentowane. Szczególniej to ostatnie z godziny na godzinę wyraźniej.

Coraz częściej na szosie rozlegał się turkot furmanek, wracających z frontu z gospodarzami — i przywozili wieści radosne. Sami śpieszyli do domu zmęczeni i troską własną gospodarską nawskroś przejęci; ale nam zostawiał ich przejazd jakby smugę świeżą na szosie, ziejącej żarem sierpniowym.

Ale jeszcze w tych dniach wpadł jakiś ryżawy i wściekły zwierzchnik bolszewicki z szablą w ręku, przy nim z rewolwerem sołdat, który go zapytał głośno:

— Pakonczyt' s nimi?

Na to powiedziałam:

— Zapytajcie najpierw we wsi, co mówią o mojej babce...

Odrzekł tonem okrutnym:

— Nie bój się! zapytam, napewno zapytam!

Wbiegł z tą szablą i ze swym towarzyszem do pokoju mej babki, a zobaczywszy ją, widać odruchowo na widok starości i powagi mruknął:

— Zdrawstwuj! — poczem chwilę popatrzywszy, wycofał się. Ale kilka godzin czekałam na jego powrót i miałam go w oczach: wąskie srogie oczy, ryżawą głowę i tę szablę, połyskującą przy jego prędkim chodzie.

Nie wrócił. Był komisarzem, jak się później dowiedziałam, i na wsi bestjalsko na nas urągał, grożąc, że zabije moją babkę i mnie. Ludzie ze wsi słuchali, byli pewni, że to zrobi i wzdychali bogobojnie. Lecz nie wrócił!..

Natomiast przed wieczorem, gdy siedziałam na ganku z księdzem proboszczem, oddychając z rozkoszą panującą wokoło ciszą i zapachem szczególnie bujnych tego roku kwiatów, u bramy ogrodowej zobaczyłam najbardziej dla mnie niespodziewane zjawisko. Jakaś dama strojna, wysoka, z pięknym bukietem róż w ręku, usiłowała z swobodnym uśmiechem otworzyć bramę, w czem jej pomagał elegancki oficer. Miałam wrażenie halucynacji: po tym ogrodzie wiele takich jasno ubranych pań chodziło z bukietami kwiatów w gorące południa, lub o wieczornej zorzami przesyconej porze. Ale to było kiedyś—dziś miałam na sobie suknię nawpół pustelniczą, chustkę wełnianą, narzuconą na plecy, i czarny różaniec na szyi. Wokoło była śmierć, nienawiść i walka — nikt się nie śmiał. Co to mogło znaczyć? W człowieku drzemie stale wiara w cuda i budzi się na każdą rzecz niespodziewaną... Nagle niedorzecznie olśniła mnie myśl, że to może jacyś nasi dostojnicy, którzy się przedarli, czy też przybywają z triumfalną wieścią... Z bijącem sercem wstałam i szłam do bramy. Właśnie otworzyli sobie sami i weszli uśmiechnięci, swobodni, ludzie ze świata, bardzo dorodna para.

Mówił po rosyjsku i w tym też języku zwrócili się do mnie. Chodziło im o kupienie gruszek w ogrodzie. Wiała od nich towarzyska beztroska, oraz zupełny bezwstyd wobec najazdu i łupienia cudzej ziemi, uprawianego przez tych obdartych rodaków, w których gronie przybyli zdaleka, aż do narwiańskich brzegów. Oburzenie, pogarda i lodowata nienawiść musiała się odbić w moim wzroku, bo uśmiech zamarł na ich ustach. Wskazałam im chłopca ogrodowego i zaraz odeszłam, siadając znów tam, gdzie przedtem. Potem mówili na podwórzu, że trafili na strasznie hardą Polkę — a ja nie mogłam się uspokoić... Ta para, zakochana, młoda, wykwintna, przybywająca samochodem z Łomży, by się rozerwać nieco w ogrodach, pełnych kwiatów i owoców, jakby nic się nie działo, jakby byli u siebie—wydała mi się jedną z najbardziej cynicznych rzeczy, jakie widziałam w życiu.

Pobiegłam na podwórze, by z kilkoma zaufanymi rzemieślnikami cieszyć się nadzieją rychłej zmiany i cichym głosem komunikować sobie dobre nowiny. Twarze młynarza, bednarza, mechanika wyrażały wzruszenie i radość, gdy słuchając huku armat, roiliśmy sobie, kiedy nasi wejdą. A wokoło kręcili się jeszcze obdarci żołnierze czerwonej armji. Ale już znów, jak w pierwszych dniach najazdu, patrzyliśmy na nich, jak na skazańców.

Znany kowal, któremu cały czas mówiłam, żeby pamiętał, że każda podkowa, dla bolszewików robiona,

Biblioteka Sienkiewicza

to jeden koń więcej na zdobycie Warszawy, teraz uśmiechał się triumfująco i mówił:

— A co, nie daliśmy Warszawy!..

Czuł już i miał słuszność, że nietylko za tym pierścieniem krwawym, co nas dzielił, ale i tu, wewnątrz niego przyczynić się można było do zwycięstwa. Przekonanie to starałam się wpoić w ludzi. Każdy odruch odwagi i oporu — był przystępną dla każdego z nas formą walki z najazdem.

Gdyśmy tak sobie rozmawiali o zachodzie słońca, na podwórzu, z szerokim na dolinę i wijące się wody Narwi widokiem, zawołał nagle mechanik z szczerem zdziwieniem:

— Ale pani ma siwe włosy!..

— Cóż pan chce, wszystko boli—powiedziałam z uśmiechem i bardzo chciałam, by mnie zrozumieli, że nie strata materjalna mnie boli, tylko ta klęska mająca źródło w jakimś strasznym upadku moralnym. Satysfakcją moją przez cały czas współżycia z pracownikami, którzy z narażeniem życia obronili nasz młyn i browar, było to, że oni czuli we mnie doradczynię i Polkę, a nigdy burżujkę w znaczeniu agresywnego stanowiska klasowego.

To też, gdy, wracając tego dnia do domu, spotkałam przy stajni bolszewika, mijając mnie burknął nienawistnie: Burżujka! Zatrzymałam się, by mu powiedzieć, patrząc w oczy z nieopanowanym gniewem:

— To strzelaj! No! — strzelaj!

Odszedł, wzruszywszy ramionami i kiwając głową, jakby się spotkał z warjatką.

Gdym zasypiała, nie prześladował mnie jego wygląd barbarzyński, lecz czarne, rozmarzone oczy ładnej Moskiewki i jej małe, zgrabne, salonowe pantofelki.

## XXI.

Większych oddziałów wojsk nie widziliśmy już od tygodnia. Pojedyncze grupy skarżyły się na wsi, że jest źle i snuły się bez planu, grabiąc jeszcze, co się dało. Potem nagle, koło wtorku gruchnęła wieść o tem, jakoby w niedzielę wojska nasze miały wejść do Łomży. Mnie tę wiadomość dał Maciej, bez zbytniej radości, bo był starym sceptykiem — ja wcale nie uwierzyłam. Wiedziałam, że już się obróciło na lepsze, ale żeby tak prędko, nie przypuszczałam. Huk armat był coraz bliższy, lecz z Łomży donoszono mi, że nie widać wcale cofającego się wojska, więc mnie to niepokoiło. Jednocześnie ludzie zaczęli znów bać się momentu odwrotu, przewidywać wtedy najgorsze i myśleć nanowo o piwnicach na wypadek bitwy nad Narwią. Z Łomży dochodziły wieści o czrezwyczajce, o groźnem położeniu biskupa i pana Stanisława Woyczyńskiego, prezesa Ligi antybolszewickiej, który z niepospolitym hartem nie chciał wyjeżdżać i został pomimo oczywistego niebezpieczeństwa, jakie mu

groziło. Czrezwyczajka szykowała się na zamordowanie go w ostatniej chwili, bo doświadczenie z biskupem wskazywało, że lud nie dopuści do jawnej rozprawy z umiłowanym pasterzem. Biskup przebywał więc niby na wolności, ale całe, miasto jeszcze w rękach dzikich, było jakby śmiertelnem więzieniem dla tych, których naznaczyła potworna komisja. Wieści rozsiewane niewiadomo przez kogo, popularne głosiły, że oni są na liście, a było dotąd rzeczą stałą, choć dziwną, że wszystkie tego rodzaju pogłoski fatalnie się sprawdzają. Tak było z każdą wiadomością o morderstwie, która nas doszła podczas inwazji, tak też z cudownem wejściem wojsk naszych na oznaczoną przez ludową famę niedzielę. Myślałam z bolesnym niepokojem o losie księdza biskupa, o panu Woyczyńskim, jednocześnie przeszło mi przez myśl, co mi powiedział jeden komisarz:

— Czy pani myśli, że my nie wiemy, że pani dała tysiąc marek na Ligę antybolszewicką? Ja — ot, tak mi się podoba — nie skorzystam z tego, ale to wiadomo...

Nie wiem dlaczego, w związku z możliwością śmierci z tej strony, ogarniały mnie przedewszystkiem wspomnienia przerażające polskich grzechów na wygnaniu w Rosji. Jakąś widziałam tragiczną linję nie tylko błędu, ale nikczemności, co się poczęła w polskich komisarjatach Petersburga i Moskwy, a skończyła bolszewickim na kraj najazdem. Kimże

był taki Lednicki, wśród masakrowanych powszechnie rozkazem Krylenki Polaków, wyciągający ramiona z Rosji poprzez Polskę do Niemiec, jak nie jednym z pierwszych, z polskiem nazwiskiem, zwiastunów najazdu. Czemże się różni człowiek żyjący z komfortem, od obdartego, jeśli dla obu narodów jest fraszką, a łup — podstawą ideologji? Pamiętam, ze zgrozą, której nigdy lata nie osłabią, jak mi pokazali w ministerjum spraw zagranicznych telegram od reprezentanta Rady Regencyjnej w Moskwie, Aleksandra Lednickiego, w którym donosił, że stryjowie moi są wolni, gdy było to na żadnych pozorach nawet nie opartym wymysłem. Tak się uspokajało opinję kraju, by jej pretensję uciszyć, a w Moskwie bez najmniejszego protestu, asystowało się przy usuwaniu ludzi, miłujących ojczyznę ponad siebie.

Trzyletnie działanie tego zamożnego bolszewika, to był pierwszy wyłom w polskim murze, którym potem szeroko wlała się fala ze wschodu. Dopiero na widok tej krańcowej deprawacji, jaką przedstawiały tak zwane „demokratyczne" koła na emigracji, bolszewicy pojęli, że Polskę można najechać i można ujarzmić. Widzieli ludzi przedajnych, z frazesem ojczyzny na ustach, i zamarzyli, iż takim jest naród. Wciskali się też, opanowując tajemnie i jawnie te sfery i nigdy apetyty ich tak nie rosły i perspektywy nie otwierały się równie szeroko, jak w zetknięciu z tą mafją panującą w Polsce, tak jak oni pano-

wali w Rosji. Rok 1918-ty, reprezentowanie Polski przez adwokata moskiewskiego, który całą siłę swych tajemnych wpływów użył na rozbicie naszej siły zbrojnej w Rosji i dokonał tego, pozostawiając na pastwę mordów tysiące najlepszych synów narodu — to było źródło bolszewickiej inwazji.

Wspomnienia te i rozmyślania pochłaniały mnie teraz szczególnie, gdy miałam wrażenie, że wyjdę z życiem z opresji.

W sobotę rano, dzień przed wejściem naszych wojsk do Łomży, jeszcze śmierć otarła się o mnie blisko.

Rano poszłam jak zwykle na dziedziniec, i rozleniwiona radosnym hukiem armat — rozmawiałam z ludźmi, nie biorąc się do rachunków. Mówiłam o tem, ile to można pomóc naszym wojskom, rozbrajając pojedynczych bolszewików, i że musimy się choć teraz spisać -- bo w chwili najazdu ludzi ogarniał taki strach, którego wstyd będzie potem... Ludzie z animuszem mówili, że wezmą się do resztek osaczonych Moskali i szczera radość widniała w ich twarzach. Mówiliśmy może zbyt głośno, otaczało mnie kilkunastu robotników. Niedaleko kręcili się, biorąc piwo, bolszewicy. Ktoś powiedział mi z ważną miną, że się organizuje bojówka z dokładnemi instrukcjami z Warszawy, ale że byłam oburzona, iż w chwili najścia Moskali nikt z tych sfer oporu nie stawiał i nie bardzo wierzyłam w te

siły, więc przyjęłam wiadomość bez najmniejszego entuzjazmu.

Poszłam do pokoju kasjerki na zwykłe rachunki. Ale minęło zaledwie kilkanaście minut, gdy wbiegł p. Łaskowski, młynarz, z twarzą bladą.

— Proszę pani, proszę zaraz odejść, może co słyszeli... Powiadają, że pani tu ludzi buntuje i skończą z tem... że uciekać, to uciekają, ale jeszcze zdążą...

Wstałam i powiedziałam.

— Odejdę zaraz, bo przedewszystkiem nie chcę was narażać...

— Mybyśmy sobie nigdy nie darowali, gdyby panią...

To mi zabrzmiało trochę pogrzebowo i rzekłam pół żartem:

— Tak, byłoby fatalnie przetrzymać tyle dni, a przed samem wejściem naszych wojsk zginąć!...

— Oni są jak głupi, jeden drugiego pyta: dokąd uciekać? więc aby dziś się gdzie ukryć... — powiedział któryś.

Mnie zaś droga do domu wypadła poprzez gromadę bolszewików i była to droga, w południe pusta. Pomyślałam, że miłoby było, gdyby mnie kto odprowadził, ale nie powiedziałam ani słowa. Przez okno widziałam kilku Moskali, kręcili się przy bramie fabrycznej.

Wyszłam i znów dzień słoneczny i szmaragdowa dolina z zapachem siana z nad wód wydały mi

się nieopisanie piękne. Minęłam gromadę bolszewików, przyglądających mi się dzikiemi oczami i usłyszałam:

— Buchalterka! Wykopiesz ty sobie dołek...

Ale żaden się nie ruszył. Nie chciałam przyśpieszać kroku, lecz minąwszy ich, pomyślałam, że chwilowo najgorsze za mną. Teraz już miałam tylko przed sobą jeden mały budynek, szerokość szosy i naprzeciw była furtka ogrodowa. Nagle drgnęłam na całem ciele. Za węgłem tego domku, gdy miałam ścianę za sobą, a pustą szosę i parkan ogrodu przed oczyma, stał jeden bolszewik i wyciągnął z pochwy rewolwer. Patrzał na mnie, jakby nie zdziwił go wcale mój widok. Ten człowiek chciał mnie zabić, odczułam to jaskrawo, nieomylnie.

Błyskawicznie objęłam wzrokiem fatalne położenie: pustkę na tej szosie upalnej w samo południe, ten parkan, do którego muszę dojść, mając za sobą człowieka z rewolwerem... Śmierć była w powietrzu — i tak wygodnie dla niego... Nikt nas nie widział, ani z dołu dziedzińca, zasłoniętego budynkiem, przed którym szłam, ani z góry ze dworu, ukrytego za parkanem.

Prędzej, niżbym obmyśleć ją mogła, instynktownie użyłam jedynej, jaka mi pozostawała, obrony.

Ujęłam różaniec w rękę, pocałowałam krzyż w oczach Moskala i pomyślałam gorąco:

— Boże! nie daj mi zginąć taką marną śmiercią! Naprawdę najbardziej mnie bolało to, że mnie

czeka śmierć przypadkowa, bez zasługi i z takiej nikczemnej ręki.

Poczem, nie oglądając się już, szybko szłam do furtki. Manipulacja z kluczem wydała mi się, że trwała wieki. Przez ogród, nie ukrywam, biegłam szybciej, jak mogłam, pędziłam poprostu. Myślałam, że trzeba się zaraz ukryć. Ale już gdym weszła do domu, ogarnął mnie nieprzezwyciężony wstręt do ukrywania się. Właśnie zastanawiałam się nad tem, gdy weszła pokojówka z rozpromienioną twarzą.

— Panienko! panienko! prędko! proszę do ogrodu!...

Wybiegłam i usłyszałam szalony tętent, oraz wołanie:

— Skarej! Skarej!...

Jakaś rozeszła się widać wieść groźna wśród Moskali, bo uciekali w popłochu.

Ten bolszewik, czekający na mnie za węgłem domu z rewolwerem, był to ostatni Moskal, jakiego widziałam w Drozdowie.

## XXII.

Ta sobota zresztą, pomimo rannego przejścia, była dla mnie jakiemś cudownem zjawiskiem. Najpierw byłam jak odurzona, bo mnie nie opuszczała świadomość, że uniknęłam śmierci w opatrznościowy sposób, a powtóre, ciągle nam się zdawało, że ponieważ tamci uciekli, to zaraz tego dnia wejdą nasi.

Mówiono coś o Francuzach, z kulomiotami na naszym folwarku, o parę wiorst odległym; ja nie mogłam wytrzymać w domu, w którym przez dwadzieścia pięć dni już byłam jak w więzieniu i pobiegłam pierwszy raz swobodnie do ślicznego ogrodu, niedaleko. Ale wyszłam nie tą furtką, którą wchodziłam rano... Były tam wierzby o potężnych konarach, rozsochate, na pograniczu parku i łąki, świerki nad wodą, pokrytą rzęsą szmaragdową, i aleja lipowa, wielka, szumiąca, a tak sklepiona nad głową przechodnia, jakby rodzinne przedłużenie domostwa, słodki przytułek.

Biegłam szybko po tym ogrodzie, obeszłam najdalsze jego zakątki, pochylałam się nad różami, które kwitnęły w zapomnieniu, prostowałam z rozkoszą poplątane gałązki bluszczu na parterze. Stąd, tak niedawno, ta ładna, strojna Moskiewka dostała duży bukiet róż i powiewała nim triumfalnie, otwierając bramę naszego ogrodu... Dziś, gdzieś w popłochu ucieka...

Spotkałam ogrodniczka, który mi powiedział, że na własne oczy widział dziś rano, na łące, tuż przy szosie, w olszynie, dwóch huzarów śmierci.

— Co ty mówisz! dziś? rano? To jeszcze jak byli bolszewicy?

— Tak, to też jak mnie zobaczyli wyciągnęli rewolwery i pytają, jak i co. Ja im powiedział, że jeszcze kilkudziesięciu jest we wsi, to oni rozejrzeli się uważnie, nawet widać było na dziedzińcu Moskali i zaraz w cwał przez łąki z powrotem.

— A rzeka? jak przepłynęli?

— O! przepłyną! — powiedział z zaufaniem.

— Kiedy to było?

— W samo południe.

Właśnie o tej porze, kiedy ja mogłam zginąć marną śmiercią na pustej szosie, nasi huzarzy już byli w Drozdowie! Uczułam wzruszenie.

Gdy wróciłam do domu, odwołano mnie na korytarz, gdzie stał z promieniejącą twarzą ten człowiek, co mi uratował portret.

— Jaśnie pani, nasi w chmielu! — powiedział przyciszonym głosem.

O Boże! dopiero w tej chwili, usłyszawszy te słowa, objęłam całą rozpaczliwość dotychczasowej naszej egzystencji, całą grozę i ohydę. Przeniknęło mnie szczęście i jakaś polska duma z żołnierza, tak silna, jak najsilniejsze uczucie w życiu. Nasi w chmielu!... to znaczy, że już przebyli krwawą drogę, zostawiając zmarłych braci na tych błoniach rozległej doliny, przybyli, by nas ratować! Dosłownie: od śmierci, od zagłady swoją krwią, swojem męstwem. To się powtarza setki razy o żołnierzu, że jest obrońcą, ale dopiero w takiem jak nasze położeniu, obejmuje się całe tragiczne piękno postaci żołnierza i serce składa hołd, w którym jest duma i pokora jednocześnie.

Chciałybyśmy biec z panią Oczką do tych żołnierzy, ale gdzieżtam! Trzeba się było znów na całe godziny uzbroić w cierpliwość, bo wokoło zaczynała się walka, bardzo podobna do tej z przed miesiąca, tylko, że teraz z kolei na fortach byli Moskale, a Polacy u nas, gdy wówczas naodwrót! Z fortów jeszcze robili wycieczki tropione przez naszych ułanów, ukrytych w naszym lasku. Rozlegały się znów armaty bijące z fortów za Łomżę w stronę nadchodzącej naszej piechoty i charkot przeraźliwy karabinów maszynowych gdzieś bardzo blisko, oraz huk wystrzałów z ręcznej broni!

Lecz słuchało się tego, jak anielskiej muzyki, nietylko bez strachu, ale z zadosnem uniesieniem.

Nie wiem, jak minął wieczór i następny ranek niedzielny. Słychać było gwałtowny bój blisko — przez most łomżyński od świtu uciekało wojsko bolszewickie w popłochu, ale z fortów jeszcze waliło z armat, broniąc przeprawy.

Koło trzeciej popołudniu, przy nieskazitelnej, bez jednej chmurki na niebie, pogodzie, ludzie zaczęli gromadnie wylegać na szosę i wypatrywać na wzgórzu z tamtej strony Narwi, za Łomżą, ukazania się naszych wojsk. Oczy zachodziły łzami od zaciekłego patrzenia, ale po chwili zostały olśnione.

Równo, szybko sunęły czarne masy w kierunku Łomży. Nie można było odróżnić, przez szerokość doliny, nic prócz miarowego ruchu, aleśmy się nie mogli napatrzeć. Można powiedzieć, że cała wieś wyległa na szosę i patrzyła. Co to była za urocza niedziela! Świąteczność tego sennego zwykle na wsi dnia była jakby pierwszym głosem w ogólnym radosnym rozhoworze.

— Idą! patrzcie! idą... i co za siła ich wali — powtarzał co chwila jakiś chłop. Niektórzy wzrokiem wyobraźni odróżniali tanki, armaty, nawet wielbłądy wzięte Moskalom.

A na wszystkich twarzach, prócz wesela, malował się ten kult dla rzeczywistości, niezmiernie na-

szym chłopom właściwy, który wyraża dobitnie zdanie francuskie: „Le roi est mort, vive le roi...“ Nie chcę przez to powiedzieć, żeby na jednym planie stawiał chłop polski władzę najeźdźczą z władzą krajową, ale z całem przekonaniem stwierdzam, iż na najazd patrzyli nie z punktu widzenia krzywdy i hańby narodowej, a przedewszystkiem z punktu widzenia, reprezentowanej przez Moskali siły, to jest tej rzeczywistości, jaka miała się ustalać. To było w nich odruchowe i ze wszystkich złożonych uczuć, jakie obudziła zmiana nagła, najmocniejsze. Chłop nasz jest czcicielem rzeczywistości, jakąby nie była; bunt przeciw niej uważa powszechnie za zwłokę w pracy dnia, skutecznej, i jest sceptykiem wobec wszelkiej ogólnej nadziei.

Ile razy mówiąc, że ta zmora minie, jak zły sen, słyszałam spokojne słowa:

— Gdzietam! — jak ich puścili, to i zostaną. Kto ich tam wypędzi?!

I brał się chłop, mówiąc te słowa, od których mnie, pomimo wiary, truchlalo serce, do wideł, do kosy, do młócki.

Jest siła w tem stanowisku, ale siła ślepa, datująca się jeszcze od zamierzchłej ciemnoty.

Myślałam teraz o tem wszystkiem, patrząc na pogodne twarze, i znów mnie uderzyło to, co w dniach najgorszych odczuwałam z mocą, że z ich wadami

i ślepotą, kocham ten lud, jako coś niezmiernie bliskiego, że jest przepaść między tą twarzą chłopa jasną i o wyraźnych konturach, a bezkształtną fizjognomją Moskala i że czciciele rzeczywistości wyznają jednak wiernie od stuleci tę wiarę Krzyża, która nie jest z tego świata.

## XXIII.

Zaraz też zaczęłam się wybierać do Łomży. Zrzuciłam z siebie okropną suknię i buty, o której to całości, gdy jeszcze dodawałam szalik na głowę, przy wyruszaniu w drogę, pani Oczka mawiała:

— Nie, niemożliwą z siebie robisz maskaradę— ale w której ja czułam się doskonale dostosowaną do wypadków i kładłam z rozkoszą ubranie z okresu spokojnego, takie, które nic nie wiedziało o inwazji. Myślałam, że trzeba będzie iść piechotą, ale nietylko mnie to nie przestraszyło, lecz myślałam z rozkoszą o wyprawie. Żal mi było tylko każdej chwili zwłoki—gdy się ubierałam, dano mi znać, że przyjechał jeden z naszych pracowników, mieszkający w Łomży, z doniesieniem, że wojska nasze od godziny są już w mieście. Ogarnęła nas radość i najwyższe uniesienie. Gdzieś już, jakby za morzami, były dla wyobraźni te dzikie tłumy najeźdźcze — a wieczystą rzeczywistością stał się fakt, że nasze wojska zwyciężają, jakąś przyrodzoną dla serca nowiną.

Biedką jednokonną z bukietem pięknych kwiatów, które mi ogrodnik w ostatniej chwili dał dla dowódcy, jechałam do Łomży o zachodzie słońca. Na granicy majątku stał tłum ludzi, wyczekując na nasze wojska. Jechałam tuż przy lesistych wzgórzach, z których rano jeszcze strzelali bolszewicy. Widziałam świeże kałuże krwi przy drodze. Czyjej? — myślałam — naszej, czy Moskali? — i nie mogłam wzroku oderwać od tej krwi. Na nowym moście, który bolszewicy chcieli przy uciekaniu, za wszelką cenę wysadzić w powietrze, ale nie potrafili, była wyrwa, już zreperowana. Drugi most, drewniany, podpalony przez nich, płonął właśnie. Ale mi się ta pożoga wydała jedną glorją więcej, nad świetlistą, w blaskach wieczornych doliną i jakby aureolą wokoło szczęśliwego miasta, na wzgórzu.

Skręcając na most, spotkałam pierwszego polskiego żołnierza, wracał z pogoni.

— Cześć!—powiedziałam wzruszona.

Było to prawie dziecko, umorusane, zdrożone niezmiernie i wesołe.

— Uf! uf! – wołał przyjaźnie. — Proszę mi podwieźć karabin! zmęczyłem się!... Pognało ich się het, ale tam cuchnie za fortami! Strach, cośmy ich nasiekli od wczoraj...

— Za fortami?—tamtędy szła cała nawała przed miesiącem!...

— Tamtędy też uciekali —odrzekł ochrypniętym głosem—i leży tam tego co niemiara. Aleśmy cztery dni i cztery noce gnali bez przerwy w bojach aż do Łomży... Straszny pośpiech! już ich niema... uf! zmęczony człowiek!...

Podziękował za podwiezienie karabinu i pokłusował do miasta, myśmy zaś musieli zwolnić jazdę, bo prowadzono duży zastęp jeńców. Ludzie tłumnie im się przyglądali i w oczach ich widniała zimna rachuba strasznych krzywd, doznanych jeszcze do wczoraj. Ja zaś odczułam tak tragiczny kontrast między mojem poczuciem szczęścia, a ich niedolą, że pierwszy raz, bez nienawiści, spojrzałam na ten obdarty motłoch moskiewski. Zachodzące słońce kładło się różowemi pasmami na ich twarze, pokryte śladami nędzy, łuna płonącego mostu nadawała ich oczom jakąś szklistość, jakby łez zastygłych i coś nakształt ostrego żalu ścisnęło mi serce.

Gdy wjeżdżałam do miasta, odrazu uderzył mnie entuzjazm, jakiego u nas nigdy nie widywałam. Na ulicach obozowało wojsko, niesłychanie zdrożone, ale wesołe, z kwiatami w ręku, lub na karabinie; otaczał ich tłum patrzących na te zczerniałe postaci żołnierskie, zupełnie jak na własne dzieci — gwar nawskróś rodzinny panował na ulicach miasta, z którego poznikali żydzi. Starzy i młodzi, bogaci i ubodzy znosili żołnierzom, co kto miał, z uniesieniem, ze łzami szczęścia, z porywem wdzięczności bez granic

i z dumą. Zaś wojsko, któreśmy witali, nosiło wszelkie cechy wyborowego żołnierza: były to dywizje wielkopolskie, dla nas już na zawsze pamiętne. Rosłe, zdrowe postaci, pogoda i siła wyrazu, na mundurach i w twarzy ślady bojów ciężkich, zdrożenia, marszu dniami i nocami, prywacyj wszelkich i przytem wszystkiem hart i niezamącone zdrowie duszy i ciała. Piękne wojsko, nietylko, bo widziane jako zbawcze i po tylu dniach śmiertelnej męki, ale napewno w znaczeniu greckiem piękne. Ludność musiała w tym żołnierzu, właśnie prócz bliskości odczuwać i to piękno, bo miasto dyszało jego urokiem to miasto wynędzniałe, obdarte przez Moskali, i od wieku łupione pokojowo przez żydów.

Pułkownik C., dowódca pierwszego pułku 14 dywizji wielkopolskiej, który wśród walk ulicznych wkroczył do miasta, po czterech dniach i czterech nocach marszu w bojach nieustannych —przyjął mnie z kurtuazją taką, że znów ogarnął mnie urok polskości rdzennej, przesyconej duchem rycerskim. On pierwszy, z dobrocią, wśród wydawanych co chwila rozkazów licznemu gronu oficerskiemu, cisnącemu się w skromnej izbie — zmęczony i uśmiechnięty, objaśniał mnie, co się u nas dzieje; powiedział, że nieprawda, by pokój był zawarty, jak nam mówili bolszewicy. Z zapartym oddechem pytałam o Warszawę i od niego dopiero się dowiedziałam, jak blisko podeszli Moskale i jaka była groza, o pomocy Francji,

o wszystkiem. Pan pułkownik z kolei pytał potem o moje losy pod inwazją, dziwił się przyjaźnie ocaleniu, słuchał z zaciekawieniem o Moskalach.

Po chwili wszedł w sprawie organizowanej straży obywatelskiej p. Stanisław Woyczyński. Na ulicach miasta rano, gdy jeszcze bito się tuż za fortami, ukazały się lapidarnej treści wezwania, podpisane przez niego, do licznego udziału obywateli w straży. W mieście pełnem żydów i ukrywających się szpiegów, przy bojach o miasto, którego los mógł być jeszcze chwilowo zmienny—te afisze i postać ciężko chorego na serce, a snującego się wciąż po ulicach p. Woyczyńskiego—po dniu, w którym uszedł śmierci przypadkiem, gdy żonę przez pół godziny trzymano pod rewolwerem, grożąc śmiercią, jeśli nie wyda męża—były niepospolitem świadectwem uczuć starego polskiego szlachcica.

W Łomży znajomi opowiadali mi swe ciężkie przejścia. Widzieli katowanych księży i oficerów polskich, pędzonych przez bolszewików, a gdy kobiety błagały, by ich pozwolono nakarmić, bo upadali z wycieńczenia starcy, odmawiano.

Biskup, cudem prawie, uszedł śmierci, bo gdy go chcieli pochwycić, zdołał dostać się do kościoła i tam przeczekać, aż Moskale uciekli. Radość była powszechna z tego powodu.

Na ulicy trwał całą noc rozhowor radosny, jakby jakiegoś bractwa w szczęściu, bo takiem było oswobodzone polskie miasto.

Nazajutrz, szlakiem krwawych bitw, przez Ostrów, Wyszków i Modlin, jechałam samochodem do Warszawy. Pola puste ze szczątkami koni i plamami świeżej jeszcze krwi, lub resztkami pocisków— wołały do mnie wielkim głosem o tem, co się tu działo przez trzy tygodnie, o polskiej klęsce, co mi szarpała serce przez 26 dni niewoli, i o zwycięstwie, które mi dało jeden z najszczęśliwszych dni w życiu.

Jechałam lasami, w których się kryło jeszcze kilka tysięcy bolszewików, skazanych na zagładę, bo zupełnie odciętych i znów pomyślałam o nich z jakimś ludzkim instynktem miłosierdzia, jakiego nie zaznałam przez cały czas inwazji.

Zapadał zmierzch, gdyśmy stanęli pod Modlinem w lasach, pełnych śladów świeżych walk. Samochód wymagał naprawy i staliśmy tam długo. Weszłam z rozkoszą w cichy las, na skraju pola i drogi. Patrzyłam: na łące, wśród wierzb naprzeciw i na rżysku — wszędzie zapadała mgła wieczorowa i cisza nieprawdopodobna. Po chwili zajaśniał księżyc wczesny, łagodny w sierpniu. Zobaczyłam przy jego blasku krzyż stojący na rozstaju dróg. I nagle poczułam, że o ten krzyż oparło się niejedno spojrzenie oczu zamierających wśród walk przed kilkoma dniami, na skraju tego lasu, więc ta noc spokojna ze złotawą poświatą, ta słodka cisza w polu — wydały mi się pozorem i złudą, a rzeczywistością to, co kryje siwa ziemia w swem łonie. Pomyślałam, że trzebaby

człowieka głuchego, by nie odróżnić, wśród ciszy, odgłosów walki śmiertelnej, która hartowne szeregi, smagane szczególnem polskiem męczeństwem, kładła tu pokotem, pod tym krzyżem, wśród wierzb, na rżysku i wszędzie; i ślepcaby trzeba, żeby w tym księżycowym pejzażu nie odczuć świeżej polskiej krwi.

O dwunastej w nocy dojechałam do Modlina i oświetlone rzęsiście okna wielkiego gmachu, gdzie pracował bez wytchnienia sztab bohaterskiej armji piątej--wydały mi się symbolem niezawodnym tego, co jest w narodzie najtęższe, piękne i wiekuiste, symbolem cnót polskiego żołnierza.

Biblioteka domowa
Mieczysława Kasprzaka